

#Było to w miesiącu wrześniu, przy schyłku krótkiego jesiennego dnia.

Przed jedną z największych stacji kolei żelaznej, wiodącej z Wilna do Warszawy, stał długi szereg wagonów, a w jednym z nich, zasunięta w głąb powozu,¹ z książką w rękę i gęstą zasłoną z czarnej koronki na twarzy, siedziała kobieta.

Zmrok zapadał coraz ciemniejszy. Pod dużym gmachem stacji błyskały latarnie, chodzili i gwarzyli ludzie, - w górze między chmurami wypływały gdzieś gwiazdy, a w dali ciemniał las, szerokim i nieruchomym pasem łącząc szare niebo z szarą ziemią. Zadzwoniono po raz pierwszy.

Do wagonu, w którym siedziała kobieta z zasłoną, lekko i zręcznie wskoczył młody mężczyzna. Postać jego zgrabna i smukła, mimo zmroku, wdzięcznie zarysowała się na otaczającym ją ciemnym tle; błysnęły stalowe ozdoby przewieszanej przez ramię jego podróżnej torebki i widać było wymykające się spod czapeczki gęste i bardzo jasne włosy. Wskoczył do wagonu, stanął przy drzwiczkach i obejrzał się, jakby pytając losów, jakie towarzystwo zsyłają mu na długą może podróż.

Kobieta zwróciła twarz na wchodzącego i spoza zasłony swojej patrzyła na młodego człowieka.

I on patrzył na nią, ale, niestety! nic nie widział, oprócz niewyraźnej postaci kobiecej. Byłaż ona młoda czy stara, piękna czy brzydka? - nie mógł dojrzeć, bo siedziała w głębi powozu, a cienie były za nią, przed nią, wkoło niej.

Znowu rozległ się głos dzwonka.

Na stopniu, prowadzącym do wagonu, w którego drzwiach² rysowała się postać młodego mężczyzny, ukazała się otyła kobieta, od chłodu jesiennej nocy zaopatrzona w futro z ogromnym lisim kołnierzem³ i w kaptur watowy z czarnego aksamitu, zasłaniający część jej czoła i twarzy. W rękę trzymała niemałej objętości wór podróżny, dwa dosyć spore pudełka i drugi mniejszy worek, z którego sterczały, jak się zdawało, rogi oprawnych książek. Bagaże te i niepomiarowa tusza utrudniały jej dźwigniecie się na wysoki stopień wagonu.

Młody człowiek nie zwracał uwagi na mozolne wspinanie się podróżnej, gdy nagle słuch jego uderzyły słowa, dość ostrym wymówione głosem:

- Mój panie kochany! a bądźże łaskaw podać mi rękę!

Odwrócił się, spojrział, lekki, ledwie dojrzany uśmiech przebiegł mu po ustach;⁴ ale z grzecznością człowieka, należącego do oświeconych towarzystw, schylił się, jedną ręką ujął wór podróżny zakłopotanej pani, drugą jej pudła i, postawiwszy to wszystko w głębi wagonu, podał jej obie dłonie.

Podróżna dźwignęła się z ciężkim westchnieniem; po chwili cała masa podniosła się do wysokości drzwiczek, a zawsze wsparta⁵ na silnych i usłużnych dłoniach młodego człowieka, wtoczyła się do wagonu.

W czasie tej operacji, kobieta z zasłoną na twarzy siedziała ciągle nieruchoma, przez szybę powozu patrząc gdzieś daleko, może⁶ na wielką złotą gwiazdę, która sama jedna wypłynęła spod chmury i zawisła nad pasem dalekich lasów, jakby świecić chciała ciemnym ich głębiom.

Zadzwoniono po raz trzeci.

Ze stukiem zaczęły zamykać się drzwi wagonów, rozległy się dwa ostre, przeciągłe gwizdnięcia⁷ i po chwili poważna, wspaniała, niby królowa, wojsko na bój wiodąca, ruszyła się lokomotywa i, coraz szybsza, coraz silniejsza, żelazną pierś zaczęła pruć gęste i mgliste powietrze, rzucając pod obłoki kłęby dymu, jakby słane ku niebu potęgi ziemskiej świadectwa.

W wagonach zapalono lampy. Przy jednej z nich młody człowiek, o jasnych, kędzierzawych włosach, z ciekawością patrzył na siedzącą w głębi powozu kobietę, której twarz kryła gęsta czarna koronka. A tak gęstą była ta zasłona, że przez nią dojrzeć mógł⁸ tylko wielką białą gładkiego, wysokiego czoła kobiety i, przeciskający się przez tkanę koronki, blask jej oczu. Ale kolor tych oczu, ich kształt, wielkość, ale reszta twarzy, usta, nos i, co ważniejsze od tego wszystkiego, wyraz fizjonomii, zostawały dla ciekawie przypatrującego się tajemnicą. Widział tylko jeszcze grube warkocze ciemnokasztanowatych włosów, wypływające spod czarnego kapelusika, drobną, bardzo kształtną, zamkniętą w rękawiczkę rękę i niedbale, a zarazem wdzięcznie, o poduszki powozu opartą postać.

Kobieta spoza zasłony swojej patrzyła na towarzysza podróży, a ponieważ on zasłony takiej nie miał, z łatwością więc widzieć mogła świeżą, o regularnych rysach twarz jego, z pełnym młodzieńczej swobody wyrazem, mały, jasny wąsik, ocieniający łagodne usta, i duże błękitne oczy, które zdawały się patrzeć⁹ na świat z młodą, niczym niezawiedzioną jeszcze nadzieją, i z młodą, nigdy jeszcze niezłamaną, a ufną w swoją potęgę, wolą.

Trzecia obecna w wagonie osoba, otyła pani z lisim kołnierzem¹⁰, z ciekawością przyglądała się i kobiecie, i mężczyźnie, i zdawało się, że się namyślała, jak ma z nimi rozpocząć rozmowę.

Przez kilka minut w wagonie panowała cisza, przerywana tylko jednostajnym szmerem kół uderzających o żelazne szyny... Po chwili, kobieta z zasłoną na twarzy usiadła bliżej lampy, otworzyła książkę i zaczęła czytać; młody człowiek miał bardzo dobry wzrok i dojrzał na okładce książki tytuł: Poezje Słowackiego.

Otyła pani ujęła także swój mniejszy woreczek, rozsunała zamykające go sznurki włóczkowe z pąsowymi kutasikami Definicja słownika 'kutasik' w Słowniku języka polskiego pod red. W. Doroszewskiego: <https://sjp.pwn.pl/doroszewski/kutasik;5445292.html> na końcach i wydobyła książkę. Młody człowiek dostrzegł mimo woli, że był to Złoty ołtarzyk. Zasłona gęsta utrudniała snadź czytanie, a może i lampa za słabe dawała światło, bo kobieta zamknęła książkę, zasunęła się znowu w swój kącik i siedziała cicha, nieruchoma. Pani w kapturku wydobyła z worka drugą jeszcze książkę do nabożeństwa i trzecią, i czwartą, a uszykowawszy je wszystkie na

kolanach, nie zaczynała jednak się modlić. Przenosiła wzrok z kobiety na mężczyznę; widocznie trawiona była żądzą dowiedzenia się, co to za jedni. Myślała więc nad tym, jakby zaspokoić swoją ciekawość, a Złoty ołtarzyk, Łza chrześcijanina, Westchnienie duszy itd. czekały sobie tymczasem na jej kolanach.

Młody człowiek z torebki podróżnej wyjął cygaro i, grzecznie zwracając się do otyłej pani, zapytał:

- Czy pani nie zaszkodzi dym cygara?

- A gdzieżby tam miał mi szkodzić, mój panie kochany! - odpowiedziała z widoczną radością, iż rozmowa się zaczyna. - A gdzieżby tam - powtórzyła - miały mi szkodzić cygara! Nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą (tu złożyła pobożnie ręce), co dzień kilkanaście faj wypalił, to się przyzwyczaiłam do dymu tytoniu, panie mój kochany! Palże sobie, pal z Bogiem!

Młody człowiek zwrócił się do drugiej kobiety i powtórzył:

- A pani nie szkodzi dym cygara?

- Nie, panie - odpowiedziała krótko spoza zasłony swojej i znowu zapadła w milczenie.

Ale tym razem pani w kapturku nie pozwoliła ciszy zakręlować w wagonie. Spojrzała bystro na młodego człowieka, potem na zaslonioną kobietę i, uznawszy ją snadź za ciekawy przedmiot badania, zwróciła się ku niej i, poprawiając kapturek, ozwała się z rodzajem przymilenia:

- A pani dobrodziejka, czy z daleka?

Kobieta powoli zwróciła ku niej głowę i, po chwilce milczenia, zawsze spoza zasłony swojej, odrzekła:

- Z daleka, pani.

- Pewno do Warszawy? - spytała otyła pani, obydwoma już rękoma¹² zsuwając z czoła kapturek.

- Tak, pani - była znowu odpowiedź.

- Czy pani dobrodziejka z okolic Warszawy może?

- Nie, pani.

- A z jakich? czy wolno spytać?

- Z dalekich.

Interlokutorka, widocznie zniecierpliwiona lakonicznymi odpowiedziami, poruszyła się tak żywo, że aż z kolan jej spadł Złoty ołtarzyk, a młody człowiek ze zdwojoną ciekawością wpatrywał się w zaslonioną kobietę. Uderzył go młody i świeży dźwięk jej głosu i zaciekały krótkie odpowiedzi.

- Pani dobrodziejka dawno już w podróży? - rozpoczęła się na nowo indagacja.

- Od dnia wczorajszego.

- Pewno na zimę do miasta... dla zabawy?¹³

- Tak, pani.

Tą razą Łza chrześcijanina poszła śladem Złotego ołtarzyka i w drodze rozsypała tuzin obrazków i przepisanych modlitewek.

Młody człowiek grzecznie się schylił i pomógł właścicielce w zebraniu rozspanych skarbów pobożnych.

- A, dziękuję, panie mój kochany, dziękuję ślicznie! - mówiła otyła pani - grzeczny z pana kawaler! To rychtyk jak nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą. Bywało, jak robię pończochę, to niech mi tylko kłębek upadnie, zaraz mi go podniesie, choćby się pod samiuteńką kanapę potoczył. Pan dobrodziej kubek w kubek będziesz taki, jak mój nieboszczyk Wicus, świeć Panie nad jego duszą. Zaraz znać po grzeczności, żeś pan dobrodziej z Warszawy. Czy zgadłam, jeżeli wolno spytać?

- Tak, pani, jestem w Warszawie - odpowiedział młody człowiek.

- A dokądże to pan dobrodziej podróżował?

- Byłem w okolicach Wilna.

- A w jakim miejscu, czy wolno spytać?

- W miasteczku N.

- Ach, panie mój kochany, toć ja stamtąd jadę i tam mieszkam; że też nie zobaczyłam tak ślicznego kawalera! A u kogoż tam był pan dobrodziej, czy wolno spytać?

- Jeździłem do mego kolegi i przyjaciela, doktora Dolewskiego.

- Ach, panie mój kochany! znam, znam jak własne oko. No, proszę! Lucyś Dolewski o pana dobrodziejka kolega! na rękę¹⁴ go nosiłam! Ależ on, panie mój kochany, sam w Warszawie jest teraz.

- Tak; toteż, nie wiedząc o tym, wybrałem się do niego i rozminęliśmy się w drodze.

- Pewno pan dobrodziej krótko bawił w N.

- Parę godzin tylko. Na stacji pocztowej dowiedziałem się o wyjeździe Lucjana i zaraz wróciłem, aby go choć w Warszawie znaleźć.

- No, proszę! - powtórzyła raz jeszcze otyła pani - Lucyś Dolewski to przyjaciel pana dobrodziejka, no proszę!

- Złoty to chłopiec - ciągnęła dalej - anioł stróż wszystkich biednych ludzi w N. i całej okolicy. Bo to głowa, panie mój kochany, co się nazywa. Nieboszczyk mój mąż, świeć Panie nad jego duszą, bywało, mówi: z tego chłopca będzie minister, a serce u niego, to, panie mój kochany, lepsze jeszcze od głowy. Czyby to on nie mógł, jak i drugi jaki, rozsiąść się w wielkim mieście, nie mówię już o Warszawie, ale w Wilnie na przykład a choćby w Grodnie, albo w Mińsku i brać pieniądze, i królować, i hulać sobie Prowincjonalność / zwyczaje, panie mój kochany. Ale on, biedaczysko, pracuje i haruje, i tyra swoje młode lata między nami biednymi i, za

pozwoleniem, głupimi ludziskami; a wszystko to dlatego, żeby starej matki nie porzucać, boby umarła chyba z tęsknoty za swoim jedynakiem, któremu dała edukację, panie mój kochany, kawałek chleba od własnej gęby odrywając.

Ostatnie słowa wymówiła z rozrzewnieniem, wydobyła chustkę do nosa, otarła oczy i spocone pod kapturem czoło i w zapale wydobyła z worka jeszcze jedną książkę do nabożeństwa, podobno Cichą Iżę.

- Cieszę się - po krótkiej chwili ozwał się młody człowiek - słysząc tak pochlebne wyrazy o moim przyjacielu.

- Ach, panie mój kochany - odpowiedziała pani - tożem ja na rękach jego nosiła. Nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą, był komisarzem u hrabiego S.15, o wiorstę od N., a nieboszczyk ojciec Lucysia był w N. aptekarzem. To, panie mój kochany, w przyjaźni żyli z sobą, jak bracia. Jestem Anna Owsicka, do usług pana dobrodzieja.

Młody człowiek skłonił się w milczeniu.

- A pana dobrodzieja godność, czy wolno spytać? - podchwyciła pani Anna.

- Cyprian Karłowski - odrzekł z lekkim ukłonem i uśmiechem mężczyzna.

Na dźwięk tego imienia, kobieta z zasłoną na twarzy poruszyła się lekko i, mimo koronki, znać było jak błyszczące oczy zwróciła na młodego człowieka. Nic jednak nie rzekła i na chwilę umilkli wszyscy.

- Która też to godzina, panie mój kochany? - spytała znowu pani Owsicka.

- Dziewiąta - odpowiedział pan Karłowski, patrząc na zegarek.

- O Chryste Panie! tożem ja jeszcze nie zmówiła godzinę do Opatrzności boskiej Zwyczaj / Prowincjonalność . A jadę do Częstochowy, panie mój kochany; grzechem duszy obciążać nie można, w takie święte miejsce jadąc. Całe życie wybierałam się do Częstochowy, aż, chwała Bogu, postawili kolej żelazną i teraz człowiek jak siądzie sobie na maszynę, to tak frrrrrr... i polecą, gdzie tylko zamyśli. Daj Boże zdrowie tym ludziom, co to mają rozum i takie piękne rzeczy robią, panie mój kochany!

To powiedziawszy, otworzyła Złoty ołtarzyk, przeżegnała się i z głębokim westchnieniem poczęła się modlić półgłosem.

Znowu cisza zapanowała w wagonie. Młody człowiek spojrzął na kobietę siedzącą w głębi i jedną tylko dostrzegł w niej zmianę: zdjęła rękawiczkę, a na kształtnej i niezmiernie białej jej ręce lśnił pierścień z wielkim brylantem. Rączkę tę podnosiła niekiedy do ust, jedząc karmelek, a rzutem tym odkrywała nieco zasłonę, tyle jednak tylko, że młody człowiek ujrzał parę razy białą, okrągłą bródkę. W myśli złorzeczył temu, kto pierwszy fabrykować zaczął gęste zasłony dla kobiet i błagał losy, aby Poezje Słowackiego zrzuciły z kolan nieznajomej, bo grzeczność nakazywałaby mu je podnieść, a przy tej sposobności podjęłaby się może zasłona kobiety. Niestety! książka leżała spokojnie na kolanach swej właścicielki, a zaciekawiony młodzieniec pytał myślą losów, dlaczego przed chwilą z kolan pani Owsickiej spadł Złoty ołtarzyk, a Poezje Słowackiego leżały spokojnie? Ale los nie uznaje nigdy potrzeby tłumaczenia się z niesprawiedliwości i nielogiczności swoich.

Błada lampa drżała, niepewne światło rzucając w kąty wagonu, a milczenie przerywane było tylko pobożnymi westchnieniami pani Owsickiej i chrzęstem karmelka, odzywającym się niekiedy w ząbkach nieznajomej.

O prozo XIX wieku! Kobieta ubrana w czerni, z zasłoną na twarzy, milcząca, zamyślona, zamiast wzdychać, je karmelki¹⁶. Niegdyś tak wyglądająca kobieta bywała istotą z mgły i zefiru, za pokarm jej służyły marzenia, a ziemskie jadlo odrzucała drżącą dłonią, gwiazdom się skarżąc na prozę żywota. Dziś je ona karmelki! Gdzież poezja? gdzie tajemniczość? gdzie tragiczność awantury? gdzie czysty, brzydzący się materią idealizm?! Młody podróżnik wszakże nie żałował tajemnicą owianych zjawisk dawnych czasów i z miłym wrażeniem słuchał chrzęstu karmelków w ustach nieznajomej, bo był mu on świadectwem jej młodych i zdrowych ząbków, które, sądząc podług przedziwnie białej rączki, jaką widział, przedziwnie też białymi być musiały.

Pani Owsicka skończyła godzinki do Opatrzności boskiej, wycalaowała wszystkie obrazki, przeżegnała się krzyżem różańca i, na worku podróżnym złożywszy głowę, głęboko usnęła Zwyczaj / Prowincjonalność .

W ustach nieznajomej kobiety ustał po chwili chrzęst karmelków, ale znać było, że nie spała, bo niekiedy białymi paluszkami machinalnie przewracała karty książki. I pan Karłowski też nie spał, czoło oparł na dłoni i myślał.

I pogrążeni w milczeniu, kołysani jednostajnym ruchem wagonu, oboje młodzi ludzie utonęli w zamyśleniu. O czym oni myśleli? Niech odpowiedzią na to będzie wyraz: byli młodzi! A młode myśli, to orły szerokoskrzydłe, co lecą nad ziemią i orlim wzrokiem szukają kwiatu wesela i owocu szczęścia. I któż je zliczy, i któż je opowie, gdy rojami wylatują z głowy młodością wrzącej, gdy jednym ich skrzydłem wiara, drugim nadzieja, a atmosferą, w której się unoszą... miłość. Z ognia stworzone, w pragnieniu skąpane, wiarą w przyszłość strojne, gdzieżeście wtedy, o myśli młode, kiedy czoło człowieka pochyli się smutne pod wspomnieniami doznanych zawodów? gdzieżeście wtedy, gdy w sercu jego tchnienie życia zmrozi młodzieńcze zapały i porywy, gdy, po dniach minionych chodząc, jak po grobach, i myśl swą, i czoło chyli on ku ziemi?

Ale, jadący z Wilna do Warszawy, młodzi ludzie nie mieli skroni smutnie schylonych pod ciężarem dni już przebytych i nie chodzili jeszcze po wspomnieniach, jak po grobach. Toteż młodzi oboje, piękni pewno oboje, myślami pobiegli w świat szeroki, a oczyma często spoglądali¹⁷ z zajęciem na siebie, dopóki... dopóki... nie usnęli. Usnęli? i któż odważy się twierdzić, że oni spali?

Młody człowiek siedział wprawdzie nieruchomy, ale czy spał, czy snuł wątek różanych myśli, nie wiadomo; a młoda kobieta bodaj mało też spała, bo spoza czarnej koronki często błyskały wyraźnie otwarte jej oczy. Trudno też ręczyć, czy pan Karłowski¹⁸ nie zapytywał siebie, co bardziej silnym lśniło blaskiem, czy przysłonięte, a jednak tak błyszczące oczy kobiety, czy wielki na jej palcu brylant?

Na świecie zaczęło szarzeć, cienie nocy z wolna ustępowały przed wschodzącym dniem. Na bladobłękitnym niebie gasły jedna po

drugiej gwiazdy i w wagonie zgasła blada lampa. Parę razy gwizdnęła lokomotywa i pociąg stanął.

- Stacja Tłuszcz! pięć minut! - wołał posługujący, otwierając drzwi wagonów.

Pani Owsicka ocknęła się i zaczęła prędko mówić:

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech... czy daleko jeszcze do Warszawy, panie mój kochany?

- Jedną już tylko stacją przebyć mamy - odpowiedział pan Karłowski.

- Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... - szeptała znowu pani Owsicka i, otworzywszy jedno z pudełek, zaczęła, modląc się i wdychając ciągle, przekładać w nim i układać różne drobiazgi, wypłowiałe wstążeczki, pomięte koronki, nici, szpilki itd.

Nieznamąta kobieta ujęła też niewielki i piękny woreczek podróżny, otworzyła go kluczykiem wyjętym z kieszeni okrycia i zaczęła czegoś szukać lub coś układać. Młody człowiek zauważył, że ruchy jej były bardzo wdzięczne i harmonijne.

- Prześliczna być musi! - pomyślał - bodaj tę zasłonę! Byłaby Turczynką? - I uśmiechnął się sam z przypuszczenia swojego, a uśmiech jego był taki swobodny, taki młodzieńczy, tak mu twarz rozświecił, błysnął w oczach i na białym czole zajaśniał, że aż pani Owsicka, mówiąc litanią, zamiast: „zmiłuj się nad nami”, dwa razy powtórzyła: „panie mój kochany!”, a gdyby jaki drobny sylf zakradł się był pod koronkową zasłonę milczącej kobiety, ujrzałby i na jej ustach rozkwitający uśmiech. O, uśmiechy młode! wy, akordy wtórujące pieśniom młodych myśli! rozkwitajcie i ulatujcie w świat, póki wam pora nie minie; bo życie wasze, to żywot motylka... radosny, ale krótki!

Długo nieznamąta układała w woreczku jakieś małe pudełka, papiery i książki, a gdy na koniec zamknęła go i kluczyk do kieszonki schowała, młody człowiek spostrzegł, że na palcu nie miała brylantowego pierścienia.

- Musiała go schować - pomyślał - i w istocie nie potrzebuje ona brylantów na palcach, mając dwa, przez naturę dane, a tak, przez gęstą nawet koronkę, żywo błyszczące brylanty oczu¹⁹.

I znowu się uśmiechnął i, uśmiechając się, dostrzegł, że blaski tych dwóch brylantów, o których myślał, wyraźnie skierowane były ku jego twarzy.

Znowu gwizdnęła lokomotywa, znowu pociąg stanął.

- Warszawa! - ozwał się głos donośny i ze stukiem poczęły otwierać się drzwi wagonów.

Pani Owsicka wstała najpierwsza, choć nieco z trudnością i jęła zabierać swoje wory i pudła.

- Niech pani wysiada - grzecznie rzekł pan Karłowski, - ja pani podam wszystkie te rzeczy.

- Dziękuję, dziękuję ślicznie, panie mój kochany - mówiła, sapiąc i wysiadając, pani Anna. - Grzeczny, bardzo grzeczny z pana kawaler. Powiem Lucysiovi Dolewskiemu, że grzecznego ma kolegę, panie mój kochany.

To mówiąc, wygramoliła się z trudnością z wagonu, wzięła z rąk „grzecznego kawalera” swoje manatki i, obciążona nimi, powoli zmieszała się z tłumem ludzi, zalegających platformę.

Ujrawszy przejście już wolne, nieznamąta kobieta powstała, owinęła się okryciem i, ująwszy swój woreczek, zręcznie zeskoczyła na ziemię.

Młody człowiek, rozciekawiony, zachwycony jej ruchami, patrzył na nią i, gdy zstępowała ze stopnia, wiódł oczyma za długimi i ciężkimi fałdami jej sukni ciemnobrunatnego koloru. I ujrzał, jak fałdami tymi pociągnięty, ze stopnia wagonu na ziemię zsunął się brylantowy pierścionek, przed chwilą błyszczący na ręku kobiety, a ona poszła dalej, nie wiedząc, że go zgubiła.

Karłowski w jednym mgnieniu oka wyskoczył z wagonu, podjął pierścień i w kilku skokach dobiegł do pierwszej sali dworca.

Niedaleko drzwi stała nieznamąta kobieta i podawała urzędnikowi jakąś kartkę.

- Przepraszam panią! - rzekł młody człowiek, obok niej stojąc.

Z lekkim zdziwieniem i jakby pytająco, zwróciła ku niemu warkoczami obciążoną głowę.

- Zdaje mi się, że ten pierścionek do pani należy. Znalazłem go u stopnia wagonu.

Lekki wykrzyk wydobył się z ust kobiety; końcem paluszków wzięła z ręki młodego człowieka pierścionek i rzekła:

- Dziękuję panu, bardzo dziękuję! Tak jest, to mój pierścionek. Musiał mi spaść z palca wtedy, gdy układała rzeczy w woreczku.

Bardzo dziękuję!

Mówiąc to, parę razy wdzięcznie skinęła głową, a zarazem podniosła rękę i odrzuciła z twarzy zasłonę.

Młody człowiek stanął ośniony, urokiem do miejsca przykuty.

Piękna też była ta twarz, która nagle zajaśniała przed nim, a piękna nie posagową pięknnością klasycznych, regularnych rysów, ale ogniem, który z niej tryskał, ale z życiem na niej rozlanym. Czoło miała gładkie i białe, jak marmur greckich posągów; po skroni jej wiła się siatka żyłek i znać było, jak te błękitne niteczki pulsowały szybko, poruszane wrzącym tętnem młodego życia. Usta jej, dość duże i wydatne, pąsowe, wilgotne, były nieco otwarte, jakby im ciągle braknęło powietrza²⁰; pod ciemnymi, w regularny łuk zagiętymi brwiami, blaskiem żaru płonęły wielkie oczy, a takie dziwne były to oczy, że w jednej chwili zmieniały wyraz i barwę, ale jakkolwiek się ukazywały, płonęły ciągle wewnętrznym ogniem niezmordowanego, pełnego sił, życia.

Młody człowiek stał i patrzył, i kobieta patrzyła na niego przez chwilę.

- Niechże wiem - ozwała się w końcu swoim srebrnym, miękkim głosem - komu jestem winna znalezienie mojego pierścionka.

I dodała szybko:

- Słyszałam już pana nazwisko, ale rada bym wiedzieć, czy jesteś pan synem pana Michała Karłowskiego, właściciela ziemskiego z okolic Warszawy, który tak zaszczytnie dał się poznać na polu przemysłu naszego.

- Tak pani - odpowiedział młody człowiek; - jestem synem Michała Karłowskiego. Ale pozwoli pani zapytać siebie... - i zawahał się z dokończeniem swojej myśli. - Pan chcesz pewnie dowiedzieć się o moim nazwisku - z uśmiechem rzekła kobieta.

- Tak pani - odpowiedział pan Karłowski²¹ - byłbym bardzo szczęśliwy...

Po twarzy kobiety przemknął się dziwny wyraz, a raczej zaigrały tysiące odcieni, wśród których wprawne oko mogłoby dostrzec i figlarną młodzieńczą, i smutek jakiś, i nieco szyderstwa. Tak stała przez chwilę, jedną ręką podtrzymując opadającą jej na twarz zasłonę, drugą z wdziękiem podnosząc fałdy ciężkiej sukni; aż wreszcie spojrzała w twarz młodego człowieka i rzekła:

- Nazywam się... nazywam... Kameleon.

Potem ukloniła się²² lekko i, zostawiając pana Karłowskiego w osłupieniu, oddaliła się szybkim krokiem. Młody człowiek, jakby magnetycznym wiedziony pociągami, bezwiednie poszedł za nią, wyszedł na wschody, wznoszące się nad szerokim podwórzem stacji, stanął wśród tłumu i obejrzał się. Na najniższym stopniu stała piękna towarzyszka jego podróży, a przed nią z kapeluszem w rękę, w pełnej uszanowania postawie, wysoki, w bogatą liberię ubrany lokaj. Po chwili podjechała mała, zaprzężona dwoma siwymi końmi karetka²³, lokaj otworzył drzwiczki powozu, kobieta doń wskoczyła, powóz potoczył się szybko i... wszystko zniknęło.

#W popołudniowych godzinach, tego samego dnia, w którym pan Karłowski wrócił z wycieczki swojej w wileńskie okolice, w niewielkim pokoju jednego z warszawskich hotelów, stał przed oknem młody mężczyzna. Wyglądał na lat dwadzieścia siedm wzrost miał dość wysoki, pierś szeroką, a cała jego postać, choć nie nacechowana wytworną elegancją, jaką nadaje ciągły pobyt w wielkim mieście, miała przecież pełne męskiej piękności kształty. Twarz jego, o ściągłych i regularnych rysach, bladą była tą gorącą, namiętą bledością, jaka pokrywa zwykle ogniste, a ciągle zwalczane, uczucie. Gęste, czarne włosy opadały nieco na gładkie czoło, a spod brwi, gęstych także i czarnych, duże, ale głęboko osadzone ciemno-szafirowe oczy myślącym i łagodnym spojrzeniem zgadzały się z wyrazem kształtnie zarysowanych ust. Niewielki czarny zarost otaczał to męskie i piękne oblicze.

Poza oknem, na szerokiej ulicy wielkiego miasta, wrzał tłum różnorodny; z głuchym turkotem przesuwały się powozy, pełne niekiedy pięknych twarzy kobiecych. Nagle, na wpół stłumiona ulicznym gwarem, ale niedaleka, zabrzmiała muzyka ulicznego instrumentu, grająca arię z opery Zwyczajnie / Miejskość . Na odgłos ten, patrzący oknem mężczyzna, jakby się ze snu obudził; brwi lekko mu drgnęły, a w miarę jak instrument śpiewał coraz boleśniej, spod powiek jego i długich rzęs coraz żywsze i gorętsze błyskały promienie. W chwili owej twarz jego nabrała wyrazu namiętnej wrażliwości i kto by nań wówczas spojrzał, bardziej niż kiedy musiałby się w nim domyślić natury gwałtownej, tłumionej wprawdzie wołą, ale za lada dźwiękiem, za lada dotknięciem wybuchnąć gotowej pożarem pragnień i porywów. Widząc go tak bladym, wsłuchanym w muzykę, ze ściągniętymi brwiami i oczyma palającymi w głębi, można było odgadnąć, że jest to jeden z ludzi, co we własnej piersi noszą zarody fatalizmu, dla których w życiu nie ma środka między rajem i piekłem, i którzy, ulegając prądowi namiętności, znajdują śmierć tam, skąd inni czerpią zaledwie drobną, przelotną lezkę.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich, z wytworną miejską elegancją ubrany, Cyprian Karłowski.

Odwrócił się od okna zamyślony mężczyzna i, postępując kilka kroków, zawołał:

- Cyprian!

- A! nareszcie znalazłem cię, Lucjanie, - wołał Karłowski - z otwartymi rękoma idąc do przyjaciela.

- Wracam z N., - mówił dalej Cyprian, po przywitaniu. - Chciałem skorzystać z niedawno w tych stronach ułatwionego podróżowania i odwiedzić cię. Ale powiedz, jak mogliśmy tak nieszczęśliwie się rozminąć?

- Nie byłem uwiadomiony o twoich dobrych chęciach - odpowiedział Lucjan Dolewski - i przyjechałem tu w sprawie mojej matki, która poleciła mi odebrać od jednego z tutejszych mieszkańców, pożyczoną mu przez ojca mego, sumę pieniężną. Serdecznie żałuję, że nie mogłem przyjąć cię, ale rad jestem, że się choć tutaj spotykamy nareszcie.

Dwaj młodzi ludzie usiedli obok siebie. Sprzeczność między nimi zachodziła wielka. Młody syn bogatego właściciela i przemysłowca był obrazem swobodnej, pełnej wiary w przyszłość i w siebie, niczym jeszcze niezawiedzionej młodości. Znać było, że życie słało mu dotąd drogę kwiatami tylko, że patrzył na świat okiem Cezara, biorąc za dewizę przyszłości swojej: veni, vidi, vici. Młody doktor, zaledwie może o rok starszy od kolegi i przyjaciela swojego, miał na sobie cechę przeżytych walk i zapowiedź przyszłych burz. On także czuł się silnym; ale gdy w samego siebie spojrzał, zdawało mu się, że w piersi własnej czyta ręką ciemnego anioła kreślone wyrazy: mane, tekel, phares Nawiązanie do biblijnej uczyty Baltazara, w czasie której ręka wypisała na ścianie prorocstwo brzmiące: „mane, tekel, fares” zapowiadające upadek Babilonu; patrz: Księga Daniela 5, 1-31. . Mimo tej sprzeczności jednak, wiązała ich ścisła przyjaźń, oparta na wspólnej miłości dla piękna i światła, na wspólnych wspomnieniach dziecięcych i młodzieńczych zabaw i prac. Połączeni byli ze sobą braterstwem przeszłości i wyrazem: czy pamiętasz? którym wzajemnie tę przeszłość wywoływać mogli.

- No, mój poczciwy Lucjanie - mówił Cyprian - powiedz mi, jak ty żyć możesz w tej mieścinie N? Nigdy sobie nie wyobrażałem podobnie szkaradnego miejsca. Samo Żydostwo włóczy się po błotnistych ulicach. Nie macie tam chyba ani koncertów, ani teatru, ani księgarni, ani żadnych zebrań publicznych, bo nie widziałem nawet budynków, które by mogły ku tym celom służyć. Jak ty tam żyć możesz, biedny mój Lucjanie?

Uśmiechnął się Lucjan swoim łagodnym, poważnym uśmiechem.

- Nie jestem ja tak biedny, jak ci się zdaje, - odpowiedział z wolna. - Prawda, że N. jest bardzo nędzną mieściną, że o koncertach i teatrze nikomu się tam nie śni, że założenia księgarni spodziewać się możemy, chyba za lat sto; ale czyż nie przypuszczasz, nawet wśród pustyni takiej, spokojnego i użytecznego życia, dla ludzi, którzy mają tam do spełnienia jakieś zadanie? Zwyczajnie /

Prowincjonalność

- Zapewne, zapewne - żywo przerwał Cyprian - przypuszczam, że niejedyn Lejba lub Szymel prowadzić może w tej błotnistej dziurze byt spokojny i po swojemu użyteczny; że niejedna Sura lub Leja, świętobliwie i ku zadowoleniu swemu, przepędza tam życie, robiąc czarne pończochy z szafirowymi klinami i hodując izraelską progeniturę; stara nawet dewotka jaka może tam przebyć długie lata, klepiąc pacierze i nie jedząc mięsa przez trzy czwarte części roku, bo ryby na ulicach musicie tam poławiać. To wszystko przypuszczam; ale ty, mój Lucjanie, ty, rozkochany zawsze we wszelkich objawach piękności ducha i formy, ty, oświecony, ze smakiem wykształconym, jak ty tam żyć możesz?

Zwyczaj / Prowincjonalność Wesołość zniknęła na chwilę z twarzy Lucjana.

- Pisałeś mi wprawdzie o tym - mówił dalej Cyprian - że mieszkasz w małym i biednym miasteczku; ale rzeczywistości nigdy sobie wyobrazić nie mogłem. Dziecię okolic Warszawy, tu wzrosłem, tu żyłem i nigdy nie widziałem nic podobnego; a nie widząc, trzeba mieć chyba wyobraźnię romansopisarzy francuskich, aby stworzyć sobie obraz twego siedliska. Powiadam ci, Lucjanie, że gdybym tam rok przemieszkał, albo bym umarł, albo z rozpaczy przyjął żydowską wiarę i pojął za małżonkę najpiękniejszą z całego miasta Surę.

- Otóż widzisz - śmiejąc się, odpowiedział Lucjan - że, choć mieszkam w N. od lat trzech, anim umarł, anim się zapisał pod izraelski sztandar. Nie powiem zapewne, że mi tam jest jak w raj i nie uwierzyłyś nawet, gdybym ci mówił, że nie mam pragnień, przekraczających ciasny zakres, w którym się zamknąłem. Wszakże zostanę w N., długo może, bo mam do spłacenia dług serca, w przekonaniu moim święty.

- Chcesz mówić pewnie o twojej matce?

- Tak, Cyprianie. W dzieciństwie nieraz mawiałem tobie o tej męznej, z mało oświeconym umysłem, ale bohaterskim sercem, kobiecie; nie potrzebuję ci więc wszystkiego, co wiesz, powtarzać. Powiem ci tylko, że jeżeli dziś w hierarchii społecznej należę do rzędu stojących na wyższym szczeblu oświaty, jej to winienem; rozum mój - jej łzami zdobyty, moja wiedza - okupiona jej pracą. Kiedy ojciec mój umarł i zostawił mnie kilkoletnim dzieckiem, matka stała się silną swoim macierzyńskim uczuciem. Jak pracowała? co robiła? nie wiem i niepodobna zapewne zliczyć wszystkich jej nocy, bez snu i dni, bez wytchnienia spędzonych. Aż wreszcie miłość matki dokonała cudu: jak Chrystus chleb na pustyni, tak ona tysiąckrotnie pomnożyła pracę swoją i wychowała mnie takim, jakim jestem. Dziś na mnie przyszła kolej... Zwyczaj

- Ależ, mój drogi - przerwał Cyprian - nie widzę w tym wszystkim powodu, dlaczego byś z nią razem nie miał opuścić N. i posiąść w świecie stanowiska właściwszego dla twych usposobień i zdolności.

- Ha, kochany mój - odparł doktor - próbowałem już parę razy myśl podobną, nasuwać mojej matce. Raz nawet - było to w rok po przyjeździe moim z uniwersytetu, - matka sama mi powiedziała, że pragnie, abym, dla dalszych studiów nad medycyną i dla otrzymania szerszej drogi, na której mógłbym postępować z większym pożytkiem dla innych i dla siebie, wyjechał gdzie w świat dalszy. Przy tym powiedziała mi także, iż nie chce rozłączać się ze mną i będzie mi towarzyszyła. Mówiąc to, wydawała się zupełnie spokojną i tak zawiadnęła sobą, że zdołała wprowadzić w błąd moje synowskie oko. Cieszyłem się z tego jej usposobienia, myśl moja rwała się z całym popędem pierwszej młodości w sferę światła, szerszego czynu. Wszakże okoliczności materialne, w których zostawaliśmy, wymagały kilkunastu dni zwłoki, a w przeciagu ich, kilka razy zwrócił uwagę moją dziwny jakiś wyraz twarzy mojej matki, jakiś żal tajony, nie mogący jednak ukryć się całkiem przede mną, przywykłym do jej jednostajnej, spokojnej dobroci. Stawałem się niespokojny, ale zmianę jej twarzy przypisywałem jeszcze przez chwilę trudom, towarzyszącym wybieraniu się w daleką podróż. Aż pewnego dnia zobaczyłem scenę, która nigdy nie zatrze się w pamięci mojej. Było to w lecie: jechałem do jednego z pacjentów konno i sam jeden obok cmentarza, leżącego w oddaleniu wiorsty od miasteczka. Na godzinę przed moim wyjazdem, matka opuściła mieszkanie. Dokąd poszła, nie wiedziałem. Gdy mijał cmentarz, przyszło mi na myśl wejść tam na chwilę. Lubię niekiedy rozmawiać z umarłymi. Tam zresztą jest mogiła mego ojca: chciałem ją pożegnać. Zsiadłszy z konia, przeszedłem niską furtkę, zamykającą ogrodzenie i w pobliżu grobu mego ojca posłyszałem tłumione łkanie. Zbliżyłem się śpiesznie i ujrzałem matkę moją, stojącą obok krzyża i obejmującą go ramionami. Była tak pogrążona w rozmyślanie i łzach, że nie usłyszała szelestu moich kroków. Po bladej jej twarzy toczyły się dwa strumienie łez, wzrok miała utkwiony w murawę mogiły, ramiona z całym wytężeniem obejmowały drzewo krzyża, a usta poruszały się szeptem. Stanąłem za nią niepostrzeżony, przerażony. Patrzyłem i słuchałem, i posłyszałem - cóż? posłyszałem, że się żegnała z ukochanym grobem. Matka moja kochała mego ojca jedyną miłością swego życia. Byli oni jednym z tych małżeństw o cichej pracy i cichym szczęściu, których miłości nie tłum i związku nie rozrywa żaden hałas, żaden gorączkowy zachód życia. Po śmierci mego ojca, matka posłubiła grób jego; i miałabym od niego ją oderwać?!... Nigdy! - odrzekłem sam sobie i wróciłem do domu niepostrzeżony, z sercem pełnym uroczystego wzruszenia. Wieczorem ukląknęłam u stóp jej i powiedziałem: Matko! ja stąd nie wyjadę, mnie tu dobrze, zostańmy!... I zostaliśmy, i nie żałuję tego, i próby nie powtórzę nigdy.

- Dziwna rzecz... - zaczął Cyprian.

- O, nie tak dziwna, jak się zdawać może, - przerwał Lucjan. - Dla starych, mój drogi, wspomnienia są całą treścią życia; nimi karmią się oni wtedy, gdy wszelkie ziemskie nadzieje przyświecać im przestają. A matka moja jest już starą; do miejsca, w którym urodziła się, żyła, kochała i cierpiała, przyrosła, jak kamień do gruntu, w którym mchem się okryje. W N. stoi dom, do którego po raz pierwszy weszła, jako młoda i szczęśliwa żona mego ojca; w domu tym jest kącik, w którym długie godziny przesiadywała nad kołyską moją. Tuż za miasteczkiem jest mogiła mego ojca, a w kościele ołtarz, przed którym modliła się całe życie. Ma ona tam dawnych znajomych swoich, którzy znali ją młodą i z którymi przez długie lata dołą i niedołą dzieliła; słowem, poza tym nieznośnym dla innych

miasteczkiem dla niej nie ma życia. A gdybym ja ruszył w świat, ona by nie została, bo bardziej, niż do wszystkiego na ziemi, sercem przykuta jest do mnie. Osądź więc sam, Cyprianie, czy mnie należy niepokojem zatruwać ostatnie dni matki, której tyle winienem? Czy nie powinienem raczej zwyciężyć i stłumić własnych porywów, zwalczyć własnych bólów, aby ją spokojną i ufną we mnie doprowadzić do mogiły?

W jasnym oku Cypriana błysnęła szybko powściągnięta łza; wyciągnął rękę do przyjaciela i rzekł:

- Jesteś najpocziwszy z ludzi, Lucjanie. Ale żebyś się tam dla rozrywki choć zakochał w kimkolwiek - dodał - wracając do dawnej wesołości.

- Jestem już zakochany - z uśmiechem odpowiedział Lucjan.

- W kimże? w kim? mów prędzej, mój drogi.

- W pracy - odpowiedział doktor.

- Hm! poważną masz kochankę! Ale wiesz, spróbuj wielożeństwa, pozostań wierny pracy, a par-dessus le marché par-dessus le marché (fr.): 'na dodatek'. , zakochaj się w jakim ładnym buziaczku. Ale à propos zakochania i buziaczków - zawołał nagle, zrywając się z krzesła - mam zapytać cię³⁹ o rzecz wielkiej wagi. Bywają u was niekiedy dziwne nazwiska. Macie na przykład Komara, Mola, Żabę, Koziellą. Czyś nie słyszał kiedy o nazwisku: Kameleon?

- Nie, o takim nazwisku nigdy jeszcze nie słyszał, śmiejąc się, odpowiedział Lucjan.

- Mój Boże! jedna już tylko zostaje rada. Stąd prosto idę do księgarni i kupuję herbarz Niesieckiego. Jeżeli w nim nie znajdę tego nazwiska, to chyba ona jest cudzoziemką.

- I któż to ta ona? - poważnie spytał Lucjan zapalając cygaro i dodał: - a raczej powinien bym powiedzieć, ta dziesiąta czy dwudziesta twoja ona?

- Pierwsza w życiu, tak powabna! - zawołał Cyprian, cały rozpromieniony wspomnieniem porannego zjawiska. - Wiesz co, Lucjanie, ani w Paryżu tak zgrabnej, ani we Włoszech tak ognistej nie widziałem kobiety. Nie nazwę jej piękną, bo to wyraz oklepany, przedstawiający głównie regularność rysów, a u niej rysy spostrzegają się ostatnie, znikają przed dziwnym wyrazem twarzy. Tę kobietę nie z gliny, ale z płomieni, Bóg utworzył; toteż zwyczajnego glinianego człowieka pali, jak istny płomień. - Ale w każdym razie tylko - odezwał się znowu Lucjan - powiedzże mi nareszcie, kto to ta ona?

- Ba! gdybym sam wiedział! Wczoraj wieczorem o kilka stacji od Warszawy, przesiadając się dla różnaitości z jednego wagonu do drugiego, znalazłem ją w głębi powozu, zamysloną, z zasloną na twarzy, nie tak jednak gęstą, abym nie mógł dojrzeć, że jest przesłiczna. Przez całą drogę nie mówiliśmy do siebie ani słowa i skończyłoby się może na milczącej mojej admiracji, gdyby nie karmelki, tak, mówię wyraźnie: gdyby nie karmelki!

Nie darmo ktoś mądry powiedział, że małe przyczyny rodzą często wielkie skutki; bo i tą razą jadła ona karmelki i dla tej czynności uznała widać za potrzebne zdjąć rękawiczkę; potem układała sobie różne graciki i przy tym zajęciu musiał zsunąć się z jej palca piękny brylantowy pierścionek. Wsiadając, pociągnęła go fałdami sukni; ja zobaczyłem, podniosłem, oddałem i fakt ten doprowadził moje interesa do tego pomyślnego stanu, że raczyła mnie zapytać, czy jestem synem mojego ojca, to jest Michała Karłowskiego, o którym musiała słyszeć. Pytanie to ośmieliło mnie zapytać o jej nazwisko. Pomyślała chwilę i odpowiedziała: nazywam się Kameleon! Sądzę, że gdy odeszła, zostałem nie mniej zgłupiały i zdumiony, jak nieszczęsny Papkin, skazany na wyszukanie krokodyla Nawiązanie do Zemsty Aleksandra Fredry. . Gdybym wierzył w metempsychozę, a raczej w migrację dusz zwierzęcych w ludzkie ciała, mógłbym zaprawdę uwierzyć, że Kameleon obłókł się w formy tej kobiety; bo wyraz jej twarzy mieni się, jak barwy tego zwierzęcia. Zdaje mi się, że oczy jej w mgnieniu oka kilka razy zmieniły kolor: były i piwne, i ciemnozielone, i czarne jak węgiel. Kameleon! Kameleon! czy słyszałeś kiedy, aby się tak kto nazywał? Przecież myślałem sobie: jeżeli można nazywać się Żabą, dlaczegoż by nie można nazywać się Kameleonem? Miałem więc nadzieję, że dowiem się czego od ciebie.

- Nigdy nie słyszał o tym nazwisku, - odrzekł Lucjan - i wątpię, czy ktokolwiek w świecie mógł o nim słyszeć, bo myślę, że musi w tym być jakaś mistyfikacja. Ale powiedz mi, mój drogi, jak możesz zaprzętać sobie głowę kobietą, którą raz tylko widziałeś i z którą ledwie kilka słów zamieniłeś?

- O, poważny medyku! - odparł patetycznie, stając przed Lucjanem, Cyprian; - alboż dla ciebie niezrozumiałe są takie wrażenia, co to uderzają jak gromy, jak błyskawice wdzierają się w samą głęb istotności człowieczej? Spojrzysz w białą twarz, wpatrzysz się w błyszczące oczy, dotkniesz drobnych paluszków i, ani się spostrzeżesz, jak w tym jednym mgnieniu oka wkradnie się do serca twego miłość. - Miłośćka, Cyprianie - zarzucił Lucjan.

- Czemuż nie miłość?

- Tak, miłośćka tylko; bo miłość ma szersze podstawy, niż rzut oka na białą twarzyczkę i błyszczące oczy, niż dotknięcie⁴⁶ drobnych paluszków. Za piękną twarz i białą rączkę kochać możesz dziś pannę Helenę, jutro pannę Klarę, pojutrze panią Zofią, Marią lub Adelę; a jeśli każde z tych uczuć o motylowym żywocie zwać będziesz miłością, cóż będzie miłośćką?...

- Surowo sądzisz młode i tak zwyczajne u ludzi porywy, mój Lucjanie. Ale, mówiąc na serio, wyznaję, że i według mojego zdania, niegodną człowieka jest rzeczą robić ciągłą zabawę z tego, co ma być jedną ze składowych części poważnej treści całego życia. Nie sądzę, aby dobrze było rzucać serce na wszystkie wichry i, w tej kosztownej igraszce, tracić fizyczne i moralne siły. Lecz, mój Lucjanie, grzechy i wady pojedynczych ludzi biorą źródło z ogólnego ustroju społeczeństwa. I czyż nie widzisz, że wielu z nas pije ambrozję łatwych miłości, jako antydot przeciw poczuciu wielkich bólów, którym zapobiec nie jesteśmy w mocy? że gdy przed nami

zamykają się szranki, w których moglibyśmy w ruch i czynność wprawić żywotne siły nasze, składamy skarby myśli i serca na bank pięknych oczu i drażniących wrażeń, aby nie udusić się własnym wewnętrznym bogactwem i nie zmartwić całkiem przy jedzeniu obiadów i paleniu cygar, dwóch działaniach, jakie ze wszelką swobodą wykonywać możemy?

- To jest - odpowiedział Lucjan - aby rozerwać próżnowanie i zapomnieć o rzeczywistości, upajacie się miłością, jak, wśród próżniactwa haremu i pod groźbą jedwabnego stryczka, Turek upaja się narkotykiem. Ale strzeżcie się! Bo jak Turcy po zażyciu opium usypiają ze skrzyżowanymi nogami, tak wy, pijąc ciągle słodką truciznę, możecie usnąć z założonymi rękoma, a wtedy biada wam, bo na długo zamienicie się w Turków i jedynym szczęściem, jedyną nagrodą, o jakiej wam marzyć będzie wolno, będą czarne oczy hurysk.

- O mój ty filozofie, czy żeś nigdy nie kochał? - śmiejąc się, zapytał Cyprian.

- Dotąd nie miałem na to czasu ani sposobności.

- Tym gorzej dla ciebie. Przyjdzie kreska na Matyska. Rozkochasz się kiedy okropnie.

- Więc czemuż tym gorzej?...

- Ha! bo to widzisz, mój drogi, należymy podobno w tym względzie do dwóch przeciwnych biegunów świata. Ja, w moim swobodnym i hulawczym życiu, niejedną już ogniową przebyłem próbę i żadna jakoś nie oparzyła mnie bardzo. Kochałem, szalałem, zalecałem się, porzucałem, mnie porzucano, a z tego wszystkiego wyszedłem, jak widzisz, zdrow i cały, i gotów znowu jak motyl lecieć w płomień. Ale z tobą inaczej być musi.

- Skąd to wnosisz?...

- Primo stąd, żeś dotąd nigdy nie kochał, a wybuch materii palnych, im dłużej wstrzymywany, tym silniejszy; secundo, że ci z oczu Werter patrzy; tertio, że, siedząc tam w swojej mieścinie, zakochasz się z rozpaczy, a wierz mi, że nie ma straszniejszej miłości, jak ta, której się człowiek uchwyci, wedle poetów, jak deski zbawienia, a według energicznego wyrażenia ludu, jak pijany płotu.

- A wola i rozum od czego?

- A namiętności i młodość od czego?

- W imię zdrowego rozsądku, odejdz ode mnie, szatanie, z diabelską mową twoich przepowiedni! - zaśmiał się wesoło Lucjan. Szkoda, że nie ma tu wody święconej, abym cię mógł odżegnać.

- A może jeszcze i wierzby święconej, co? to śliczna perspektywa Zwyczajnie. Ale wolę nie czekać, abyś mię jak złego ducha stąd wypędził i sam umknę. Mam wiele do załatwienia na mieście, a około wieczoru przyjdę po ciebie i pójdziemy razem do Teatru Wielkiego; dają dziś Trubadura. Do zobaczenia, stoiku, medyku, filozofie, a nade wszystko przyjacielu!...

Kiedy zamknęły się drzwi za Cyprianem, Lucjan usiadł przy stole i zaczął pisać list, na którego początku były słowa: „Moja droga matko!”.

Skończył, ale nie wypuszczał z ręki pióra; przez chwilę bawił się nim machinalnie, pograżony w myślach, aż na koniec z kieszeni surduta wydobyl czarno oprawną, wpół zapisaną książeczkę i począł w niej pisać drobnym i szybkim pismem te słowa:

„Cyprian mówił, że ludzie mający dla władz swoich zbyt ciasny zakres działania, umieszczają żywotne siły swoje na banku łatwych miłostek, dlatego, aby uzewnętrznić cośkolwiek ze swej treści wewnętrznej, aby się nie udusić wewnętrznym, własnym bogactwem. Nie, on nie ma słuszności, w ten sposób usprawiedliwiając to trucie się powolne i bezużyteczne. Z wolą i wytrwałością każdy pole działania wynaleźć sobie może i powinien. Tak, powinien; ale znowu z drugiej strony, czyż może być sroższa męczarnia, jak żyć w sferze za ciasnej dla myśli swojej i siły, jak widzieć marnujące się bez użytku skarby działalności swojej? I czy wówczas, gdy zewnętrzne okoliczności krępują rozwój człowieczego ducha, niby w żelazną klatkę okuwając lot jego, czy wówczas duch ten nie zawrze zgubnymi namiętnościami i nie zbuntuje się przeciw woli, która zechce go poddać spokojnym warunkom codziennych spraw i tak zwanych codziennych cnót? Bodaj i tą razą, jak zawsze, potępić należy tylko źródło, z którego grzech płynie, a o grzesznikach rzec słowa Chrystusa: „kto z was bez grzechu, niechaj rzuci kamieniem” Dokładnie cytat brzmi: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamieniem” (Biblia Gdańska, Ew. Jana 8:7). . Bo któż, niewinny i silny wczoraj i dziś, zaręczyć może w sumieniu własnym, że takim zostanie jutro, jeśli go zgubne okoliczności ku tej samej, co innych, otchłani pociągać będą?

Ileż razy w bezbarwnym, ciemnym, gorzej niż to, bo w brudnym otoczeniu, w jakim postawiła mnie powinność, ileż razy, wśród odgłosów i widoków tak bardzo rażących wszystkie sympatie i pragnienia moje, czułem wrzącą w piersi głuchą niecierpliwość. Ileż razy myślą wychodziłem poza ciasny obręb mojego działania i w marzeniu widziałem otwierające się przede mną pole szerokiego czynu, pole działania, pełne zapór i trudów, ale w których końcu⁵⁶ był cel, zrodzony z wielkiej jakiejś idei. Ileż razy, w długich marzeniach takich, podnosiłem myślą zasłonę przeszłości i widziałem, jak na krańcu widnokregu każdego dziesiątka lat niebo coraz bliżej było ziemi, dobro i prawda coraz bliższe ludzi. I drżałem cały żądzą oddania sił moich wszystkich dla zbliżenia błogosławionej chwili, którą widziałem oczyma⁵⁷ proroczego ducha, i obejmowało mnie pragnienie pójścia w świat, wzmożenia się wolą i wiedzą, i torowania sobie drogi wśród tłumów. I pragnąłem wówczas walczyć i cierpieć, choćby wszystkimi mękami potępienia, byle żyć całą pełnią myśli i czynu, byle działać! działać!..

Pytałem nieraz samego siebie, dlaczego inni spokojnie, szczęśliwie nawet żyją, w tych samych warunkach, w których mnie tak duszno i ciasno? Wszak i tam, gdzie jestem, czuję się użytecznym i potrzebnym, czas mój nie mija marnie w próżniactwie, bieda materialna mnie nie dotyka. Połowa tego, co posiadam, moralnie i materialnie, zadowoliliby wielu ludzi; czemuż więc mnie dziwna jakaś siła gna w szersze przestrzenie? Niejeden, gdyby znał moje myśli i targania się wewnętrzne, nazwałby mnie szaleńcem, marzycielem. A

jednak, nie jestem ani jednym, ani drugim; wiem, czego pragnę, znam właściwe dla siebie drogi i dlatego, że te drogi zamknięte są przede mną, duszę się, jak w klatce. Każdy, kto badał otchłanie, jakie natura ludzka zawiera w sobie, pojmie co to jest męka skrepowanego ducha, męka energii, która, nie znajdując pola dla siebie, jak rdza żelazo, najhartowniejsze nawet serce przejada. Niekiedy czuję, jak mi w piersi rwie się coś i jęczy, jak niezaspokojone pragnienia obejmują mi szyję krogulczymi szpony, jak cała moc mojej istoty domaga się jakiegoś wielkiego czynu, albo jakiejś wielkiej miłości.

I w chwilach owych, opanowany szaleń, z głową rozsadaną płomieńmi, z piersią pełną burz, pragnąłem znaleźć antydot przeciw truciznie własnych myśli i ponieść do ust czarę choćby z mętem i żółcią, aby tylko uciec od straszniejszej nad wszelkie inne żądze, żądzy czynu i światła.

Wtedy tyś przechodziła koło mnie, matko moja, poważna twymi srebrnymi włosy, święta cierpieniem dla mnie poniesionym; patrzyłem na ciebie i nakazywałem milczenie burzom moim, i stawałem się znowu silnym i mężnym.

Tak dotąd bywało; ale czy zawsze tak będzie? czy, na synowskiej miłości wsparty, zawsze zwyciężać będę?

Patrzę w siebie! Tam, w samej głębi piersi, czuję ciągle nieużyta jakąś siłę. Zgaśnij ta siła, czy pierś mi rozsadzi i serce mi pęknie?...

O, matko moja!"

#W sali Wielkiego Teatru Warszawy, wśród ciszy wsłuchanych w melodię tłumów, rozległ się śpiew ulubionej śpiewaczki. Na scenie Cyganka, matka, z rozwianym włosom, z oczyma palającymi rozpaczą i żądzą zemsty, opiewała nieprzebołałą stratę ukochanego dziecięcia. Pomiedzy tłumem słuchaczy i widzów, ze skronią opartą na dłoni, z oczyma utkwionymi w przestrzeń, siedział Lucjan Dolewski. Nie patrzył on, ale słuchał, słuchał i znać było, że śpiew przenikał go do głębi, tysiącnym uściskiem owijając mu serce. Spod czarnych jego włosów na czoło mu wystąpiły silnie pulsujące żyły; z głębokich oczu, spod wpół przymkniętych powiek, wymykał się niekiedy tłumiony ogień; pierś mu się podnosiła szybkim i nierównym oddechem. Bolesnie snadź wstrząsnęły nim namiętne tony śpiewu, ale snadź też lubował się on tym bólem, jak cierpką, gorączkową rozkoszą. Wielkomięjskość Obok niego Cyprian, odwrócony od sceny, nie słuchał, nie patrzył, zachwyconym okiem spoglądając w lożę w której siedziały trzy kobiety. Dwie z nich, młode dziewczeczki, w białych sukniach i z kwiatami w jasnych włosach, wyglądały jak Rafaelowskie ideały, obok siedzącej między nimi kobiety. Ta ostatnia ubrana była w suknię z ciemnego aksamitu, odkrywającą ramiona jej i szyję, zdobną w dwa sznury, wielkim brylantem zamkniętych pereł. Na obnażonych jej rękach, godnych Fidiaszowego dłuta, niby na karraryjskim marmurze wschodnie arabeski, wiły się węże złotych bransolet. Niedbale wsparta o poręcz krzesła, głowę, obciążoną warkoczami ciemnokasztanowatych włosów, nieco w tył odrzuciła i wielkimi błyszczącymi oczyma patrzyła na Cypriana. W rękę trzymała bukiet białych róż i takież kwiat błyszczał nad jej czołem, migocąc przytrzymującym go we włosach, szmaragdem. Cała postać tej kobiety wyrażała świetną, pewną siebie piękność; bogactwo form i bogactwo brylantów wiązało się w niej w całość, z której wiało rozkoszne jakieś, drażniące i wabne tchnienie.

Przebrzmiały śpiewy; skończył się akt przedostatni. Lucjan obudził się z zamyślenia i rozglądał po teatralnej sali. Cyprian dotknął jego ręki i rzekł z cicha: - Lucjanie, spójrz w lożę piątą od sceny na prawo: kobieta w aksamitnej sukni - to ona.

- Kto? - spytał roztargniony jeszcze doktor. - Kameleon - odpowiedział Cyprian. I obadwaj zwrócili się ku piątej loży od sceny. Ale, niestety! w chwili, gdy zamieniali ze sobą powyższe wyrazy, piękna kobieta wstała i, owinięta już szale, opuściła lożę. Za nią wyszły dwie towarzyszące jej panienki i Lucjan nie zobaczył nic więcej, prócz trzech białych szalów. Cyprian jednak spostrzegł, że siedzący obok niego, nieznajomy mu młodzieniec, przesłał ukłon ku owej loży i tak był pogrążony w zachwycie, że kłaniał się i wtedy jeszcze, gdy loża była już pustą. Cyprian patrzył na niego, parę razy otworzył usta i wahał się, aż wreszcie, z grzecznością zwracając się ku niemu, rzekł:

- Przepraszam pana, że nieznajomy przemawiam do niego; ale czy nie chciałbyś mi pan powiedzieć, kto jest ta pani, której się przed chwilą kłaniałeś, a która opuściła lożę?

Nieznajomy młodzieniec zwrócił ku mówiącemu łzawie spojrzenie, przetarł ręką czoło, wstrząsnął długimi włosami i odpowiedział głosem, w którym drgało najwyższe politowanie:

- Jak to! pan jej nie znasz?!

- Właśnie... - zaczął Cyprian.

Ale nieznajomy przerwał mu, wznosząc oczy ku płonącemu w górze świecznikowi:

- Jak to! pan jej nie znasz? - powtórzył. I na jakież pustkowio, nierozświecone jej boskim obliczem, rzuciły pana zawistne losy?

- Nie znam tej pani z prostej przyczyny - odparł Cyprian - żem rok prawie cały przebył za granicą, a przed wyjazdem moim nie mieszkała tu ona zapewne.

Młodzieniec słuchał go, zawsze z wyrazem najwyższego zdumienia, a gdy skończył mówić, pochylił się ku niemu i rzekł z tajemniczą miną:

- Wiesz pan, kto ona jest?

- Jest to właśnie wszystko, czego dowiedzieć się pragnę.

- Sfinks - szeptał nieznajomy - tajemnica.... anioł i szatan... - Ale chciałbym się dowiedzieć, jak się nazywa.

- Ułożyłem na cześć jej trzy tysiące wierszy; ona mnie podniosła na sam szczyt Parnasu.

- Niczego się nie dowiem - szepnął Cyprian do Lucjana.

- Wiek nasz - rozpoczął znowu poeta - przeznaczony jest dla szczytnych polotów ducha...

- Ależ panie, chciej mi powiedzieć nazwisko tej pani, bo wnet rozpocznie się akt ostatni.

- Tłum zwie ją Kameleonem, ja nazywam ją bóstwem.

I uderzył się wskazującym palcem w piersi, jakby chciał tym gestem uwydatnić to swoje poetyckie ja.

- Czy słyszysz - szepnął Cyprian do Lucjana - wyraźnie nazywa się Kameleon.

Po skończeniu ostatniego aktu opery, dwaj przyjaciele mieli się ku wyjściu, gdy poeta zagroził im drogę wysoką, cienką i długowłosą swoją postacią.

- Panie - rzekł, zwracając się do Cypriana - z oblicza twego czytam, że jesteś zwolennikiem muz, że nie należysz do synów ciemności i materii, którzy świętokradzką nogą odpychają perły poezji.

- Panie... - zaczął Cyprian.

- Tak - mówił dalej poeta, podnosząc głos i nie zważając, iż potrącali go wychodzący z teatru ludzie - tak, przeczuwam w panu mojego duchowego brata i dlatego nie chcę, abyś pozostał w niewiedomości co do mojego nazwiska. Jestem Pantaleon Kwiatkowski, poeta.

Cyprian uklonił się lekko.

- A idąc za przykładem dawnego wieszczki naszego, AcernaAcernus czyli Sebastian Klonowic, który nieśmiertelne imię swoje wziął z państwa roślinnego, nazwałem siebie: Convalius Convaliorum.

- Asinus Asinorum - szepnął Cyprian do Lucjana.

- To imię znajdziesz, bracie duchowy, na pierwszej karcie każdego z utworów moich. Mieszkam przy ulicy Ptasiej, w domu N.

Cyprian uklonił się znowu w milczeniu.

- Teraz ty, bracie duchowy, powiedz mi swoje doczesne zwanie i kędy obrałeś sobie siedlisko, abym mógł przybywać niekiedy w progi twoje i zasilać cię owocami swojego ducha.

- A to plaga! - szepnął znowu Cyprian do przyjaciela i głośno dodał: - Jestem Karłowski, mieszkania stałego nie mam, bom przed chwilą dopiero przyjechał do Warszawy.

- A więc nawiedz kiedy moje progi, abym ci mógł ukazać wszystkie moje skarby.

- Nie zaniedbam tego uczynić. Tymczasem żegnaj pana, bo zaczynają gasić światło w teatrze.

Przemocą prawie usunąwszy barykadę złożoną z ciała poety, żywo postąpił ku drzewom.

- Diabli rzucili na moją drogę tego poetę! - rzekł, uszedłszy kilka kroków - niczego się porządnie dowiedzieć nie mogłem, oprócz, że istotnie nazywa się ona Kameleonem.

- Dziwaczne nazwisko - rzekł Lucjan.

- Niezmiernie dziwne, ale dziwna też to być musi kobieta! Co za wyraz twarzy, jakie oczy! Dziwi mię, żeś nie zwrócił na nią uwagi.

- Nie patrzyłem dziś na kobiety; śpiew pochłonął mnie zupełnie.

- Zimny jesteś, Lucjanie.

- Tak, zimny jestem - krótko odpowiedział Lucjan.

Ale światło latarni, spływające nań w chwili, gdy to mówił, zadało fałsz jego słowom, bo odkryło twarz, zalaną rumieńcem wzruszenia i oko płonące ogniem rozkołysanej muzyką wyobraźni. Szli w milczeniu, tylko niekiedy Cyprian nucił półgłosem francuską piosenkę:

Mon Dieu, mon Dieu,

Comme elle est belle!

Avec ses yeux

Noirs si doux. Nie zlokalizowano źródła cytatu.

#Lata już minęły, jak po rozlicznych drogach blasku i rozkoszy unoszę się niby motyl, wysysając miód ze wszystkich kwiatów życia, a jednak... jednak... o! jak samotną, jak nieszczęśliwą jestem niekiedy!

Nie pierwszy to już raz, gdy zrzucam z siebie bogate suknie a z włosów wyjmuję kwiaty i brylanty Zwyczaj / Bogaci? , gdy zostaję sam na sam z sobą, pytam siebie zdziwioną myślą: kim jestem? jakimi chodzę drogami i dokąd wiodą mię one? I według słów poety: na płacz mi się zbiera, gdy snują nitki mojego żywota!

Dziwię się samej sobie, dlaczego mi tak smutno i źle? Natura moja dwoista jest jakaś: anioły i szatany kłócą się w mojej piersi; miewam chwile szału i upojenia, w których zapominam o wszystkim, a jednak najczęściej jestem w niezgodzie z samą sobą. Kiedy wrażenie jakie mnie ogarnia, lecę za jego popędem na oślep; kiedy znowu potem myślę o tym, co uczyniłam, płaczę i czołem w proch uderzam. Wiem, że drogi moje są złe, a zejść z nich nie mogę, bo w piersi mej płoną ognie namiętności zgubnych, a w oczach mam iskry wiodącej ku mnie pokusy. Choroba I nie dziw, że ludzie nazwali mnie Kameleonem, bo to imię zwierzęcia, coraz inną migocącego barwą, jest w istocie najlepszym określeniem kobiety, której każda chwila inne przynosi wrażenie, której miłości mają trwałość motylowego życia, której łzy, spędzając z ust uśmiech, gotowe są natychmiast przed uśmiechem znów ustąpić.

Niegdyś matka moja, oblekając mię białą chrztu sukienką, innym mnie nazwała imieniem; dziś od świata i ludzi otrzymałam nową nazwę, jako wyraz zmienności i zepsucia.

Dziwna, straszna jestem! Rozdzieliłam się na dwie istoty, z których jedna usuwa się spod panowania drugiej; jedna szaleje, druga, walcząc z nią, kaleczy się, upada i płacze.

Z całą piekielną mocą swoją wcieliło się we mnie odwieczne pojęcie walki żywiołu złego z dobrym żywiołem. Anioł przed szatanem ulatuje wciąż ze mnie i powraca, aby znowu zajęczać w piersi⁸⁰ mojej i znowu odlecieć.

Pamiętam, że kiedy byłam bardzo jeszcze młoda, złe głosy ciche we mnie były i słabe. Potem, niestłumione pracą ni wolą, potężniały, moc ich porывała mnie gwałtowniej coraz, aż porwała wreszcie w uścisk szatańskiego wiru i upojoną, ogarniętą płomieniami, położyła na posłaniu z róż. Choroba

Lata płynęły... i milczały we mnie wszystkie wspomnienia i natchnienia dobre... gdy raz, było to na wsi, wśród pól szerokich, wśród pól moich rodzinnych, po długiej, burzliwej podróży, ujrzałam znowu miejsce, w którym się urodziłam, w którym byłam niegdyś młoda sercem i nieskalana. Zmrok zapadł, niebo pogodne było, choć blade, a ja sama jedna szłam drogą, wiodącą wśród zboża i kwiatów polnych, ku wzgórzom i lasom. Szłam bez celu; pełną piersią oddychałam wiejskim, rodzinnym powietrzem, okiem błądziłam po szerokiej przestrzeni pól, a uchem ściagałam dalekie, przeciągłe echa pastuszych pieśni.

Smutna byłam, nie wiedząc sama czego; tęskniłam za czemś, ale nie za gwarem, którego bym w owej chwili znieść nie mogła; pragnęłam czegoś, ale nie owych wrażeń, od których do ciszy wiejskiej uciekłam. Idąc, myślałam, że chciałabym jeszcze być dzieckiem małym, albo stracić pamięć przeszłości, albo zamienić się w ptaszynę, która się obok mnie w zbożu poruszała. I myślałam jeszcze: dlaczego tak wczesnie umarła matka moja? dlaczego nie mam siostry? i myśląc o tym wszystkim, szłam długo, powoli, aż stanęłam przy wzgórzu, u którego stóp była chatka jednego z moich sług. Cicho było wkoło niej; pod otwartymi oknami kwitły na grządkach nagietki i maki, a w ogródku brzmiało buczenie chrząszczy i świerkanie koników polnych. Nagle, z wnętrza chaty doleciał uszu moich śpiew cichy, monotony, taki, jakim matki usypiają dzieci w kołysce. „Luli dziecię, luli, śpij dziecińko moja, luli, luli!” śpiewał głos kobiecy, płynął przez otwarte okna, drżał w cichym powietrzu, a spod krańca widnokregu odpowiadać mu się zdawały smętne, dalekie akordy surm.

Stałam, słuchałam i budziły się we mnie odległe, odległe jakieś wspomnienia... Wbiegłam na wzgórze, na którym, między płaczącymi brzożami, stał krzyż wysoki i obejrzałam się wkoło. Przede mną, za szeroką przestrzenią pól i łąk, pomiędzy gęstą zielenią ogrodów, stał cichy dom mój rodzinny. Otaczały go ciemne, wysokie jodły i jedna wielka gwiazda zawisła nad nim na niebie. Za mną milcząca i nieruchoma stała ściana lasów, a z innej jeszcze strony, daleko, daleko, na tle mroku, błyszczwały srebrzyste krzyże cmentarza i bieleł pomnik mojej matki. Patrzyłam... i coraz bardziej budziły się we mnie wspomnienia; żal mię jakiś ogarniał. Zapragnęłam wtedy przytulić się do kogoś, wypowiedzieć komuś najskrytsze głębie ducha, wesprzeć się na kimś; ale, niestety! wielu na świecie ludzi mnie wielbiło, wielu mi pochlebiali, ale nikt mnie wyłącznie, serdecznie nie kochał. I robiło mi się coraz rzewniej i smutniej; nogi pode mną drżały, łzy napływały do oczu⁸⁵; osunęłam się na murawę, ramionami objęłam drzewo krzyża i czołem uderzyłam o ziemię, a śpiew z chaty dochodził mnie ciągle, cichy i jednostajny, aż póki nie zagłuszyły go łkania moje.

W owej chwili zbudziłam się, spojrzałam w przeszłość moją, w teraźniejszość i w przyszłość, i zadrżałam zgryzotą i obawą. Od owej chwali poczęły się dla mnie walki; chcę powstać i ciągle upadam; ścigam ideał dobra, a jednak, jak z otchłani w otchłani z grzechu w grzech leczę; zawsze szczęśliwa na pozór! a w duszy rozżalona, świetna na zewnątrz, wewnątrznie posepna, drżącą rozkoszą niby, a w istocie niezaspokojona nigdy, nigdy nienasycona, jak pokutnica dantejskiego piekła, ze skały na skałę wściekłym miotana wichrem. Dlaczego dziś głośniejsze niż kiedy, sumienie woła na mnie, abym zdała mu sprawę z mojego życia? Może dlatego, że dziś właśnie skończyła lat dwadzieścia pięć, że więc znowu jeden rok młodości mojej przeminął. Zdaje się, że nadchodzi już dla mnie ta pora zmęczenia, w której człowiek, długo za rozkoszą i wrażeniami goniący, spostrzega, iż one otoczyły go pustką tylko i poczyna szukać cienia, który by ochłodził jego, spalone gorączką użycia, czoło.

Skończyłam dziś lat dwadzieścia pięć. Jakże czas szybko leci! a podobno każdy rok upłyniony zbliża człowieka ku starości. Starość! o, straszna to rzecz! mieć pomarszczoną twarz, siwe włosy, zagasłe oczy to coś przerażającego! A jednak, dziś jeszcze widziałam starą kobietę, wspierającą się na ramieniu syna swojego, i widziałam szczęście na jej twarzy, i niezawodnie piękna była powagą macierzyństwa i zasług swoich. Ale mnie każdy rok upłyniony nie do takiej spokojnej i poważnej zbliża starości. Kiedy czoło moje straci białość, usta zbledną, oczy zagasną, wtedy odstąpią mnie wszyscy, dla których dziś jestem cackiem, albo przyjemnym przepędzeniem czasu, i zostaną na świecie, jak wśród pustyni... żadnym sercem nie kochana, nie czczona przez nikogo, bez zasługi, bez pracy dokonanej, z pustą piersią i pustymi dłońmi. Choroba i cóż mi zostanie na te długie lata, dzielące młodość od grobu, na tę szarą godzinę życia? Może ukocham papugę jaką i nauczę ją, aby mówiła mi: „piękna jesteś!” gdy ludzie mówić mi to już przestaną; albo na kolanach piastować będę parę wiernych piesków, pudelków długouchych; albo pójdę przed ołtarze skarżyć się Bogu, żółci pełnymi ustami, na świat, który mię odstąpił.

Ha, dziwne myśli! skąd mi one przychodzą? Wszak tylu ludzi mówiło mi dziś, że jestem piękna, coraz piękniejsza... a jednak nudzi mnie już to wszystko. Przyjechałam tutaj, sądząc, że się będę jak dawniej bawiła, a dwóch dni dosyć było, abym się znudziła śmiertelnie. Im więcej wpatruję się w świat, im starsza jestem, tym wyraźniej widzę, że to, zaczem gonię, jest śmieszne i głupie. Poklask ludzi, zdobyty blaskiem piękności zewnętrznej i bogactwa, owe hołdy salonów, słowa najwyszukańszej grzeczności, to są niby⁸⁷ podeszłe w latach zalotnice, u których, pod świetnym strojem, szpetność i próżnia, znajdziesz. Zaczynam postrzegać, że ludzie wyrazy uwielbienia i miłości, jak tuzinkowe towary, bez myśli rzucają na woskowane posadzki salonów, że mówią oni o miłości gdy za chwilę zapomnieć mają, o uwielbieniu, gdy za chwilę błotem obrzucą.

Widzę to wszystko i dlatego świat błyszczący, gwarny, traci dla mnie powab, dlatego coraz bardziej zasłona opada mi z oczu. Nieraz, gdy patrzę na otaczających mnie ludzi, wydaje mi się, że jestem na maskaradzie: pod maskami dopatruję rzeczywistych twarzy i

często przed badawczym moim wzrokiem dzwoni brzącających wyrazów i błyskotki pożyczanych blasków opadają z arlekinów i ukazują mi nagie szkielety głupstwa i nicości.

Widzę więc jasno ten świat, który mię otacza, a jednak oderwać się odeń nie mogę. W latach szaleńczej swawoli rozkołysała się wola moja i nie może teraz odnaleźć swego punktu ciężenia, aby się na nim, jak na kotwicy, raz już zatrzymać.

Zmęczoną się czuję, smutną a bezsilną. Powiadają, że nieraz miłość prawdziwa podnosi z upadku. O, gdyby miłość taka przyszła ku mnie!

Nieraz już w życiu, pod wpływem wrażeń, którym, jak wiotka trzcina, poddawać się zwykłam, gorącą rękę składałam w rękę mężczyzny i drżącymi ustami szeptałam wyraz: „kocham”. Ale czym istotnie kochała? Sądzę, że wyobraźnią tylko i krwią, nigdy sercem; bo jeden podmuch wiatru, jedno nic, dostateczne było, aby myśli moje, wrażenia i pragnienia w inną stronę zwrócić a po tym, co minęło, zostawał mi albo niesmak głęboki, albo przelotne zaledwie wspomnienie. Ale poddając się tak uniesieniom chwilowym, oblekając w formy uczucia to, co wrazeniem tylko było, musiałam zapewne wiele serc skaleczyć, wiele bólów sprawić. Chociaż znowu z drugiej strony wiem najpewniej, że nikt z mojego powodu nie zastrzelił się i nie zwariował. Choroba Alboż ludzie umierają dziś z miłości, a nawet alboż umierali z niej kiedykolwiek?!...

Możem już tak rozproszyła wszystkie siły mego serca, że inaczej niż dotąd kochać nie potrafię. Alboż ja wiem?... O mój Boże, tak źle chyba nie będzie, czuję, że mam jeszcze gorące, bardzo gorące pragnienie dobra; a jeśli nie omyje mię chrzest miłości, nigdy osiągnąć tego dobra siły mi nie stanie!...

#Lucjan Dolewski siedział w swoim hotelowym pokoju, przeglądając nabyte przed chwilą książki, gdy we drzwiach ukazał się Cyprian Karłowski.

- Cyprianie! - wpół żartem, wpół serio powitał go Lucjan zdaje mi się, żeś zmizerniał od dnia wczorajszego. Byłżebyś już naprawdę zakochany?...

- No, zakochany jeszcze niezupełnie, ale widzisz, Lucjanie, ciekawość mię dręczy. W całym spotkaniu moim z tą kobietą jest coś niezwykłego, coś, co zakrawa na awanturę; a może być rzecz bardziej drażniąca i powabna nad awanturę i tajemnicę w naszym wieku, którego realizm ze wszystkiego uroku dawnej romantyczności odarł towarzyskie stosunki ludzi?

- Może żałujesz, żeś się nie urodził w średnich wiekach? - zaśmiał się Lucjan - dzielnie byś kruszył, zaprawdę, kopie za damę swoich myśli... ach, omyliłem się, swoich marzeń!...

- Mów, co chcesz, a ja wiem, że dałbym kilka lat życia, aby się dowiedzieć szczegółów o tej kobiecie, aby móc ją poznać.

Po półgodzinnej rozmowie, Cyprian oddalił się niespokojny, rozdrażniony spotykaniem niepowodzeniem, a Lucjan bez celu wyszedł na ulicę. Mijając jeden z wielkich i pięknych kościołów, przypomniał sobie, że jako o arcydziele sztuki rzeźbiarskiej, słyszał i czytał o złożonym tam, a wyszłym spod dłuta znakomitego artysty, Opis pasuje do XVI wiecznego posąg Chrystusa z kościoła św. Aleksandra na Placu Trzech Krzyży. Jednak w dalszej części powieści mowa jest o kościele Karmelitów. posągu Chrystusa. Rozmówiony w pięknie, młody doktor kochał sztukę i lubił ją badać w różnych jej przejawach. Wszedł więc do kościoła. Świątynia, w godzinach owych otwarta dla pobożnych, chcących odmawiać wieczorne modlitwy, pustą jednak była; głębi jej cicha, wspaniała, tonęła w mroku, na którego tle lśniły tylko białe ułtarzy posągi i złociste skrzydła zawieszonych nad nimi aniołów.

Lucjan wiedział, że posąg, który go tam sprowadzał, znajdował się w jednej z bocznych kaplic; dążąc więc ku niej, wszedł z wolna przez kościół, a kroki jego, uderzając o kamienną posadzkę, głuchym i przeciągłym echem rozlegały się wśród milczenia wysokich sklepień. Ta cisza głęboka, pogwarze, jakim przed chwilą otoczony był na ulicy, uderzając go swą sprzecznością, uroczyście nastroiła poetyczną i wrażliwą myśl młodego człowieka. Wszedł do kaplicy.

Światło kończącego się dnia padało słabo przez wysokie i wąskie okna; u stropu drżała lampa, jakby lecący ku niebu płomyk ofiarny. Powietrze pełne jeszcze było woni palonych tam z rana kościelnych kadzideł, owej woni, która nasuwa myśl o jakiejś bladej, leżącej w trumnie twarzy umarłej. W głębi kaplicy, w półmroku, na szarej kamienną posadzkę, biała marmur posągu; między niskim żelaznym otoczeniem, biała i nieruchoma, dłutem mistrza urobiona, leżała postać złożonego w grobie Chrystusa. Nad głową posągu, szczytami tonąc w ciemnej głębi sklepienia, stały dwa białe filary, jakby skamienieli stróżowie, strzegący niegdyś świętej mogiły.

Lucjan stanął nad posągiem, wpatrzył się w doskonale wyrobione kształty i w twarz Chrystusa, z której śmierć nie zdjęła wyrazu boleści konania i świętości Boskiej natury. Powoli z posągu oczy jego przeniosły się w górę, utonęły w mrocznej głębi sklepienia i spoczęły na lampie, drżącej gdzieś wysoko światłem białawym.

Tak stał dość długo, objęty uroczystością ciszy i cieniów kościelnych, gdy nagle o słuch jego uderzył jakiś odgłos, którego zrazu nie zrozumiał dobrze: był to jakby jęk, wychodzący z jednego ze stojących nad głową posągu filarów. Lucjan wsłuchał się pilnie i po chwili rozpoznał wyraźnie, iż było to łkanie.

Stał, słuchał i nie wiedział sam, co ma uczynić: odejść, lub zobaczyć, czy kto nie potrzebuje pomocy? Gdy tak się namyślał, zza filaru wyszła kobieta; czarna jej suknia długa i ciężka, z szelestem sunęła się po posadzce. Smukła i ze schyloną głową, postąpiła kilka kroków, profilem zwrócona do młodego człowieka, stanęła obok jednego z filarów, załamała białe, obnażone z rękawiczek ręce i nad posągiem, śmierć przedstawiającym, stała jak posąg smutku, pogrążona w zamyśleniu i łzach, nie widząc stojącego o kilka kroków od niej mężczyzny. Czarna koronkowa zasłona spadała tylko na jej czoło, nie zasłaniając dużych, w posąg wpatrzonych oczu i łez, które po białej twarzy staczały się w na półotwarte, lekko drżące usta. Stała tak rozplakana, lecz cicha i tylko niekiedy tłumione łkanie piersi jej podnosiło. Lucjan patrzył... i przejmowało go dziwne uczucie litości, sympatii, gdy nagłym ruchem kobieta osunęła się

na kolana, objęła ramionami filar, pochyliła się aż ku jego podstawie, czołem uderzyła o kamień posadzki i znów zapłakała gwałtownym, ale cichym, łkaniem.

Lucjan czuł ogarniające go dziwne wzruszenie. Ta postać kobiety, ugięta pod ciężarem wielkiej jakiejś boleści, to uderzenie białego czoła o kamienną posadzkę, ten cichy jęk, wśród ciszy otaczającej białą i nieruchomą postać Chrystusa, – wszystko to rozpałało mu wyobraźnię i napęniało głowę dziwacznymi obrazami. Przypominał sobie, płaczące niegdyś u grobu Chrystusa, czystą Maryję i grzeszną Magdalenę, i zapytywał myślą, czy kobieta, którą widział przed sobą, do pierwszej podobna jest, czy do drugiej?

Chciał odejść, ale nie podobnym mu się wydało zostawienie tej kobiety samej jednej, w stanie, w jakim ją widział. Stał więc i patrzył na nią ciągle i po chwili zobaczył, że postać jej stała się całkiem już nieruchomą i niemą. Może zemdląca, myślał, i po jakimś wahaniu się postąpił i schylił się nad nią.

Kobieta nie słyszała jego kroków.

– Może pani potrzebuje pomocy? – rzekł z cicha, a w słowie jego drżało łagodne spółczucie.

Kobieta drgnęła, ręce jej rozplotły się i od filaru odpadły, jakby bezwładne; podniosła z wolna głowę i utkwiała spojrzenie w pytającego.

– Co pan mówi? – spytała, a słowa te wypłyły z jej ust bladych, ledwie dosłyszczonym szeptem.

– Pytałem odrzekł Lucjan – czy nie potrzebuje pani pomocy. Widząc panią schyloną i nieruchomą, myślałem, że pani może zemdląca.

– O! nie, mam się zupełnie dobrze – głośniejszym głosem odpowiedziała kobieta – Dziękuję panu, bardzo dziękuję!

I mówiąc to, utkwiała w twarzy młodego człowieka łzą zasłone spojrzenie dwojga wielkich, ciemnych oczu. Po twarzy jej biegły dwa wilgotne ślady świeżych łez; z czoła zsunęła się zasłona i spadała z tyłu głowy, jak przezroczysta tkanka, jaką malarze zdobią głowę Madonny; skronie ocieniały rozwiane, ciemno-kasztanowate włosy.

Kłęcząca i cała jeszcze drżąca, niewypowiedzianie była piękną, jakąś smutną a magnetyczną piękną. Lucjan patrzył na nią, serce mu biło gwałtownie i nie miał siły odstać od niej. Ona sama powstała z wolna, raz jeszcze patrząc na niego, powiedziała: – dziękuję!

– i, zarzuciwszy zasłonę na twarz, wyszła z kaplicy.

I Lucjan wyszedł za nią, i patrzył, jak powoli przechodziła przez kościół. Smukła jej postać lekkim cieniem przesuwająca się pomiędzy białymi filarami, a ciężka suknia szelestem wtórowała cichym i jednostajnym odgłosem jej stąpań. Zniknęła za szerokimi, na ulicę wiodącymi drzwiami kościoła, a Lucjan stał jeszcze długo, zasunięty we framugę od drzwi kaplicznych, wzruszony, bezwiednie ścigając okiem łamanie się światła i cieni pod stropem sklepienia.

Wyszedł w końcu na ulicę, znalazł się znowu wśród gwaru i tłumu, i szedł jak senny, mimo woli, przy świetle zapalających się latarni, szukając między mijającymi go kobietami tej, którą przed chwilą widział w kościele.

#- Co ci jest, Cyprianie? – pytał Lucjan Dolewski, przygotowując się do bliskiej podróży i spoglądając na przyjaciela swego, który siedział przy oknie z głową na ręku wspartą i patrzył na ulicę oczyma, które wyraźnie patrzyły na daleki jakiś a nieobecny w tej chwili przedmiot.

– Co mi jest? – odparł Cyprian. – Nic, nic – a po chwili dodał: – ot wiesz, dręczy mię to, że nie mogę dowiedzieć się, kto jest ta kobieta.

– Cierpliwości trochę, mój drogi – mówił Lucjan, zajęty starannym obwiązywaniem paki z książkami.

– Warszawa nie jest przecie tak wielkim miastem, aby nie można było w niej dowiedzieć się o mieszkaniu osoby, którą się spotyka. A gdy będziesz wiedział, gdzie ona mieszka, łatwo ci już przyjdzie zabrać z nią znajomość. I jam ciekawy bardzo, kto jest ta pani.

Wymawiając ostatnie słowa, Lucjan, nie myśląc o tym, użył jezuickiego wybiegu, bo mniej daleko stosowały się one do damy myśli Cypriana, niż do kobiety, którą on sam widział płaczącą w kościele.

– Bo gdybym ja tę kobietę – mówił dalej Cyprian, po dość długiej chwili milczenia – gdybym tę kobietę spotkał po prostu w jakim salonie, został jej przedstawiony według wszelkich prawideł konwenansowego kodeksu i nawzajem dowiedział się o jej nazwisku, położeniu, miejscu urodzenia, zamieszkania itd., może bym się tak żywo nią i nie zajął. Ale tajemnica, która ją otacza, która dla mnie tylko może jest tajemnicą, to dziwne nazwisko, to pojawianie się jej i znikanie, drażni mię i pociąga ku niej siłą nowości, a szczególnej jakiejś sympatii. Czuję, że nie będę spokojny, aż ją znajdę i poznam, aż się przekonam, czy odpowiada wyobrażeniom, jakie sobie o niej stworzyłem.

– Zepsute jesteś dziecko, Cyprianie – z uśmiechem rzekł doktor.

– Tak, to prawda – odparł Karłowski, białą swą rękę topiąc w gęstych, wijących się w pierścieniu, jasnych włosach, – tak, jestem rozpieszczony przez los, to prawda. Syn najlepszego ojca i namiętnie mię kochającej matki, od dzieciństwa bogaty, kochany przez jedyną siostrę, kochany przez krewnych i przyjaciół domu, wzrosłem wśród dostatku i miłości. Wszystko mi przyszło łatwo: nauka, stanowisko w świecie, wszystko zawsze uśmiechało się do mnie: przyszłość, przyjaciele, kobiety. Byłem w główniejszych stolicach Europy, bawiłem się, uczyłem, używałem. Jestem więc rzeczywiście dzieckiem szczęścia, Lucjanie. Ale ty, mój najdawniejszy i najlepszy przyjacielu, zanadto mnie znasz, abys sądził, że, pod lekką powierzchownością, nie ma we mnie myśli i pragnień, przekraczających granice łatwego użycia. Nad wielu rzeczami boleję nieraz szczerze, może trochę i nad sobą... mimo całego mojego szczęścia. Mais il faut faire bonne mine au mauvais jeu; w braku więc czego innego, zalecam się do panny Heleny, panny Julii, pani Klary itd. Powiem ci jednak, mój drogi, że od pewnego czasu przestają mnie już bawić te łatwo zrywane kwiatki, i niekiedy, gdy przyjeżdżam do rodziców i widzę ich święte, zgodne, zacne życie domowe, bierze mię chęć wstąpienia w ślady praojców i, ni mniej ni więcej, poprowadzenia do stopni ołtarza jakiej pięknej osóbką, z serduszkami mnie wyłącznie oddanym. Lucjanie, i cóż ty myślisz o

tych moich matrymonialnych zapędach?

- Myślę, żeś do nich wcale nieestosownie przygotowany, ze swoim amatorstwem wszystkich na świecie czarnych i błękitnych oczu.

- Do licha, nudzi mnie już ta mieszanina czarnych i błękitnych oczu! - zawołał Cyprian. - Powiadam ci, że nie na żart przychodzi mi często zachcianka, żeby mieć jedną tylko parę oczu, ale wyłącznie moich; jedno tylko dobre kobiece serduszko, ale wyłącznie moje; a wyobraźnią widzę już siebie szanownym patriarchą, otoczonym rodzinnym gronem, palącym popołudniową fajkę i słuchającym czytania żony o sprzeczkach lorda Palmerstona z lordem Russelem i o owym nieodgadniętym Sfinksie (jak go dzienniki nazywają), cesarzu Napoleonie.

- A jednak, mimo tych patriarchalnych marzeń, z młodzieńczym zapałem i swawolą nieledwie, gonisz kobietę nieznaną... i kto wie, jaką? - zarzucił Lucjan, który końca mowy swego przyjaciela słuchał z pełnym niedowierzania uśmiechem.

- I cóż stąd? - zawołał Cyprian - Podobała mi się bardzo i dlatego chcę ją poznać. Nie jesteś tak naiwnym, przypuszczam, abyś myślał, że podobała mi się tylko z piękności, bo napatrzyłem się już niemało na piękne kobiety; ale uderzył mnie wyraz jej twarzy, kameleonowa gra jej oczu, ogień, który się zda tryskać z całej jej osoby, to coś, jednym słowem, nieokreślone, które przemawia niekiedy i do zmysłów, i do myśli naszej zarazem, harmonią jakąś nieujęta, a jednak magnetycznie pociągająca. Przypatrywałem się jej tak w teatrze, że gdybym nie znał opery Trubadura, nie mógłbym powiedzieć, czy Miserere, aria z opery Trubadur G. Verdiego. Miserere, owę według mnie pieśń nad pieśniami, na początku przedstawienia, czy przy końcu śpiewają. Przypatrywałem się jej i dojrzałem, iż jest ona jedną z tych istot, u których więcej się jeszcze domyślać można, niż widzieć. Ile tam ognia w oczach, gry w fizjonomii! Kto wie, może ona będzie właśnie tą, o której mówi przysłowie: śmierć i żona od Boga przeznaczona.

- Więc czymże ma być ona? śmiercią, czy żoną?

- No, już, że nie śmiercią, to pewno, bo z miłości nie umrę; podobniejsze to do ciebie, stoiku o werterowskich oczach.

- A więc żoną - najspokojniej ciągnął dalej Lucjan. Zaczynam doprawdy spostrzegać, że gotów jesteś choćby dziś przed ołtarzem stanąć. Ale jeżeli kobieta, która cię tak żywo zajęła, jest lekka, zalotna, rzucająca serce na wszystkie wichry?

- A gdyby i tak było - odpowiedział Cyprian. - Jeśli tylko znajdę w niej umysł jasny i zdrowy, jeśli rozbudzę w niej przywiązanie ku sobie, czyż nie przypuszczasz, że własnym rozumem i miłością będę mógł ją uzacnić, wzmocnić jej wolę, wyrwać z koła złych uniesień lub próżności? A sam czy nie rzucałem także serca mego na wszystkie wichry i gdy, miłostkami znudzony, zapragnąłem nareszcie miłości, mamże prawo za nieodzowny warunek wymagać od kobiety niepokalanej czystości serca i myśli, której sam już nie posiadam?

Wierzysz że ty w to, że mężczyzna może podnieść się i spoważnić w uczuciach swoich, a kobieta nie może? że mężczyźni wolno rozrzucić po świecie najświętsze uczucia i najświętsze myśli, a potem śmiało sięgać po pocziwe szczęście, lecz gdy kobieta uczyni to samo, już ją tylko zdeptać należy i odepchnąć na zawsze od rodzinnego życia, albo pobawić się z nią i wyrzucić, jak cacko zepsute. Ja myślę, Lucjanie, że zło dla kobiety jest również złem dla mężczyzny, i że w pierwszej jak w drugim, mimo zbrodni i błędów, może być jeszcze wiele dobrego, które, poruszone żywym i pocziwym uczuciem, wypłynie w życiu ponad wszelkie skazy, rozbudzi i w ruch wprawi wszystkie dobre sprężyny natury. Jeżeli oboje zło popełnili, dla obojga równie winna być otwartą droga pokuty i przebaczenia, a że droga ta trudna, zamiast pogardzać sobą, powinni sobie wzajem przebaczać i pomagać.

Cyprian był pięknym, gdy to mówił; w owej chwili przestał być wesołym motylem i eleganckim salonowcem; oczy błysnęły mu zapałem poważnej i zacnej myśli.

Lucjan nic nie odpowiedział i zamyślił się; przed wyobraźnią stanęła mu znowu kobieta płacząca w kościele. Zdało mu się, że usłyszał uderzenie pięknego czoła o kamienną posadzkę, że zobaczył duże, załzawione oczy, wpatrzone w niego z wyrazem bóleści i słodocy. I pomyślał, że może kobieta owa była właśnie jedną z tych istot, które płaczą nad własnym upadkiem i powstać zeń pragną, które, uniesione na rozdroża szaleń i burzami życia, potrzebują tylko dłoni opiekuńczej i silnej, aby wejść na takie wyżyny jakich osiągnąć często nie mogą najczystsze nawet a mniej żywotną i bogatą naturą obdarzone istoty.

I myślał, co by było, jeśliby on pokochał tę rozplakaną kobietę, którą widział w kościele, i gdyby w jej przeszłości zobaczył skazy i plamy. Myślał o tym dość długo, aż spostrzegł, że szczególnej jakości zajmuje się kobietą, raz tylko widzianą i, zapomniawszy o obecności Cypriana, zaśmiał się głośno z samego siebie. W śmiechu tym była ostra nuta: poznał, że w namiętny uścisk pochwycić może widmo i zaśmiał się ostrym dźwiękiem rozdrażnionego serca.

- Co to jest? - zawołał Cyprian. - Lucjanie czego się śmiejesz?

- Myślałem o tym, co mówiłeś - odpowiedział doktor - i choć przyznaję ci zupełną słuszność, jednak, co do siebie, jestem pewny, że byłbym szalenie zazdrosny o przeszłość kobiety, którą bym kochał.

- Ba, mój drogi, z tobą rzecz inna, a ze mną inna; tyś nigdy nie kochał jeszcze, siły twoich uczuć dziewicze są świeże zupełnie, naturę masz nierównie wrażliwszą i namiętniejszą od mojej. Dla ciebie potrzeba jakiegoś szerokiego pola działania, na którym mógłbyś w ruch wprawiać i zużywać całą energią, której jesteś pełen, inaczej wszystkie te siły swoje włożysz kiedyś w miłość dla kobiety i zobaczysz, przepowiadam ci to, że rozkochasz się szalenie, strasznie!

Lucjan, w miejsce odpowiedzi, wydobyl zegarek i rzekł:

- Komu w drogę, temu czas.

- Prawda - odpowiedział Karłowski - lokomotywa nie czeka nawet na doktorów medycyny. Siadaj do mego powoziku, który stoi przed bramą, odwiezę cię na stację kolei.

W niespełną godzinę po tej rozmowie, pociąg kolei żelaznej uwoził Lucjana Dolewskiego z Warszawy ku wileńskim stronom. Ale losy nie dały mu tak miłej towarzyski podróży, jaką w ostatniej wycieczce swojej miał pan Karłowski. W wagonie, w którym jechał, siedziały same zaspane i bezbarwne fizjonomie; miał więc możliwość oddania się swobodnie swoim myślom! Myśli te przywodziły mu często na pamięć słowa przyjaciela: - zakochasz się kiedyś szalenie, strasznie, - i uśmiechał się, odpowiadając sam sobie. Alboż nie mam silnej woli, zdrowego rozsądku? Ale wówczas koła wagonów, tocząc się po żelaznych szynach, jednostajnym swoim turkotem zdawały się powtarzać: nie mów hoc, póki nie przeskoczysz! nie mów hoc, póki nie przeskoczysz!...

#

Jak o wszystkim na świecie, tak i o wielkości miast, różne bywają pojęcia. Dumny syn mglistego Albionu, wjeżdżając do Paryża, z lekceważeniem prawie spogląda na wspaniałą stolicę Francuzów i, porównyując ją ze swym olbrzymim Londynem, rodzinną mową swoją, jakby stworzoną do wygwizdywania wszystkiego na ziemi, mówi: miasteczko! Paryżanin zwie może tak naszą Warszawę, a warszawianin wszelkie prowincjonalne miasta. Lecz są to tylko zachcianki i wybredzenia przywykłych do blasku mieszkańców stolic. Istotnego prototypu małych miasteczek szukać należy między tym rojem pół-Żydowskich, pół-chłopskich osad, których pełno jest w naszym kraju, a które dla czego noszą nazwę miasteczek, trudno odgadnąć. Są karczmy i sklepy; - odpowiada Żyd; jest kościół i co niedziela bywają targi - odpowiadają chlopi. I oto cała kwalifikacja miejsc owych na dostojność miasteczek, bo w gruncie nie są, ani miastem, ani wsią, ale gromadą nędznych mieszkań i nędzniejszej jeszcze ludności, zakopanej w błocie, w drobnym i brudnym handlu i w najzupelniejszej umysłowej ciemności.

Jednym z miejsc takich było miasteczko N., leżące na szerokiej pocztowej drodze. Miało ono jedną tylko ulicę, szeroką wprawdzie, ale wiekiście błotnistą. Z obu jej stron stały domki szare i białawe, nierówne, z małymi okienkami, gdzieniegdzie z gankami, wspartymi na pochyłych słupach. W środku miasteczka był plac, zarzucony słomą, sianem i różnym śmieciem, przeznaczony na coniedzielne targowisko. Dwie strony placu tego otaczały małe sklepiki, w których sprzedawały się świece łożowe, mydło, paciorki dla kobiet wiejskich, perkale dla Żydówek itp. piękne rzeczy. Z trzeciej strony stała długa biała karczma, z krytym, na słupach opartym, podjazdem, wspaniałą swoją budową królując domkom „na kurzej łapie”, które, jakby przejęte pokorą, chyliły się pokłonami każdy w swoją stronę. Naprzeciw karczmy, zza żółtego ogrodzenia, żółtej dzwonnicy i grupy dzikich grusz, wyglądał nie wielki, szary, o jednej wieżyczce kościółek. Na ulicy i placu, w rozkoszonym, nigdy nie wysychającym błocie, w niebogłose krzycząc, bawiły się półnagie żydzięta; na progu każdego niemal domku siedziały Żydówki, w lecie robiąc pończochy, zimą grzejąc ręce nad garnkami, napełnionymi gorącym popiołem. Przed karczmą od rana do wieczora snuły się wozy i gwarzyli ludzie, ku wielkiej radości arendarza, który częstował chłopów tabaką i gorzałką, a ku większemu jeszcze osłupieniu kilku nieustannie we wrotach karczmy z otwartymi gębami stojących Żydów, którzy, bezmyślnymi oczyma oczyma || TygIl1869/87 oczami ||Klatce 1870 oczami wodząc wkoło siebie, zdawali się, według słów jednego ze swoich rabinów, rozmyślać nad tym, gdzie się podzieją te wróble, co na dachu siedzą, jak się ten dach spali?

Kiedy podróżny, przywykły do widoku względnej przynajmniej cywilizacji, przejeżdżał przez N., odwracał spojrzenie od kąpiących się w błocie żydziaków i zapytywał siebie: jak na podobne widoki codziennie patrzeć można? Niekiedy elegancka jaka pani, której droga szła tamtędy, wyglądała przez okna karety, ale wnet zasuwiała się w głąb powozu, szepcząc quelle horreur! i podnosząc do twarzy flakonik z perfumą. A jeżeli czasem poeta lub artysta jaki, wypadkiem wjechał do tego nieznanego Dantemu piekielnego kręgu, wołał na furmana: na Boga! jedź prędzej! a zmysł jego artystyczny wzdrygał się, przejęty wstrętem. I wszyscy ci ludzie zapytywali, jak tu żyć można? A jednak w miejscach podobnych żyją ludzie i nie tylko tacy, których umysł nigdy nie otworzył się na światło Boże, ale dziwną ironią losu, żyją tam niekiedy i tacy, których myśl żądną jest wiedzy, a serce rozkochane w pięknie.

Bo alboż każdy według wartości swojej wyznaczone ma miejsce na ziemi? Wszak nieprzeparate potęgi porywają często jednostkę w żelazne objęcia konieczności, ustawiając ją tak dowolnie na pozór, jak mechanik umieszcza kółko mające dopomóc ruchowi jego maszyny. Daremnie przeciwko losowi buntuje się myśl i serce człowieka; to, co nim rządzi, mówi mu: będziesz tu stał, dumny Prometeuszu, do skały przeznaczeń swoich przykuty! poczujesz się wielkim, a na zawsze zostaniesz małym; zechcesz być silnym, a będziesz musiał być słabym; zerwiesz się do walki jak olbrzym, a upadniesz pokonany jak dziecię; bo włada tobą owo społeczne fatum, przykuwające cię do miejsca, na którym się rzucasz, jak na łożu tortur!

I ileż razy się zdarza, że człowiek tłumy w sobie poczucie wielkości i siły, a nie może ich wydać na świat w słowie lub czynie; ile razy widzi, jak godzina po godzinie, dzień po dniu, marnują się bez użytku zasoby jego energii i ducha, a on, skrzepowany tym, czego skruszyć nie może, na życie całe staje się co najwięcej... wielkim człowiekiem miasteczka lub parafii.

Było to w zimie, w jednym z ostatnich dni grudnia. Miasteczko N. pokryło się szarawym, wpół na błoto przemienionym śniegiem; na ulicy i placu skakały wrony, kracząc i podlatując, i bawiły się krzykliwie, nie lękające się chłodu żydziaki. W popołudniowych godzinach otworzyły się na ulicę drzwi nędznego domku i, schylając się, aby przejść niską sień, stąpił na próg Lucjan Dolewski.

Wyszedł na ulicę, odwrócił się i rzekł, jakby do kogoś stojącego poza nim w sieni:

- Pamiętajcie tylko, pani Chaimowo, ażeby, jak przyjdę jutro, czysiej było w domu niż dzisiaj. Inaczej matka twoja nie wyzdrowieje. Ja nic nie pomogę, jeśli nie postaracie się dla niej o czyste i zdrowe powietrze.

Gdy wymawiał te wyrazy, przed sień domu wyszła Żydówka. Postać jej okrywała krótka suknia bez barwy i kroju, a raczej zszyty, poplamiony i połatany łachman; na głowie miała perukę z niegdyś brunatnej, zasmolonej materii, a na nogach szafirowe pończochy i przydeptane a zabłocone trzewiki. Twarz jej pokryta była taką warstwą brudu, że zniknął z niej wszelki wyraz ludzki. Stała o parę kroków od doktora i patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

- Jeżeli nie wymieciesz izb i nie odmienisz bielizny chorej - mówił dalej Lucjan - ja nic nie poradzę i matka twoja niezawodnie umrze.
- Ny, wielmożny panie - odezwała się Żydówka - ja wczoraj wymiałała stancje.

- Nieprawda! - odrzekł doktor z pewną surowością - dlaczego kłamiesz? Byłem u ciebie wczoraj i zastałem brudy, jak zwykle. Matka twoja z tego właśnie powodu gorzej się ma i coraz będzie gorzej, jeżeli nie uczynisz tego, co ci zalecam. Ileż razy mówię wam o tym, że czystość potrzebna jest koniecznie do zdrowia, i że właśnie dlatego tak często chorujecie i umieracie, że nie chcecie jej utrzymywać w waszych domach.

Żydówka uważnie słuchała mowy doktora i przy ostatnich jego wyrazach zaczęła żałośnie kiwać głową, jakby potwierdzając tę smutną, o częstych między nimi chorobach, prawdę.

- Widzisz - mówił dalej młody apostoł sanitarnych idei - sama czujesz słusność słów moich, a nie chcesz zastosować się do nich.

- To prawda, wielmożny panie, ny, ale cóż robić! u nas biednych gospodarka, a tyle dzieciów!

- Alboż Lejba, krawiec, nie ma dzieci? a jednak u niego w izbach czysto i dlatego już rok minął, jak nikt z jego rodziny nie chorował.

- Dziękować wielmożnemu panu, co ich nauczył tego, żeby u nich czysto było - ozwał się stojący we drzwiach domu i słuchający rozmowy niski, ryży, w długim surducie Żyd.

- Otóż, bardzo mię martwi - odpowiedział Lucjan - że was tego samego nauczyć nie mogę. Jesteś porządnym rzemieślnikiem, Chaimie; najlepszy z ciebie stolarz w N. i w okolicy całej, a nie możesz nakłonić do tego żony, żeby co dzień izby wymiałała, otwierała okna na kilka minut i zmieniała ubranie chorej matce i małym dzieciom.

- Ny, Sure! Czy słyszysz, co wielmożny pan doktor gada? - odezwał się ryży Żydek, patrząc na żonę. - Idź wymiatać stancję zaraz!

- Bądźcie zdrowi, moi kochani - z łagodną zyczliwością rzekł Lucjan, podnosząc rękę do futrzanej czapki. - Nie gniewajcie się na mnie za moje przestrogi, ale widzicie, ja wam dla waszego dobra radzę.

- Aj waj! co to wielmożny pan doktor gada - zawołał Żyd, chwytając się za ryże pejsy - my za pana doktora co sobota modlim się w szkole, za to, że od tego czasu, jak pan doktor przyjechał, połowa ludzi choruje co dawniej. Daj Boże panu sto lat życia!

Dziękuję, dziękuję - z uśmiechem odrzekł Lucjan. - Jutro znowu do was przyjdę.

Żyd pokłonił się i zniknął w niskim wnętrzu chaty, a po chwili z mieszkania Chaima wyjeżdżała kupa wymiecionego śmiecia i rozlegał się krzyk broniących się od czesania i mycia Żydzaków.

Lucjan przebył wszsz szeroką ulicę, w środku której stały mętne kałuże roztopionego śniegu, i wszedł do innego domku. Po chwili wychodził zeń w towarzystwie jakiejś mieszcanki, która z czerwoną chustką na głowie, z wrzecionem w ogorzałej ręce, zegnała „wielmożnego doktora” niskimi pokłonami i prosiła, aby jutro przyszedł znowu do jej chorego męża.

Prowincjonalność - Nie dawaj wódki mężowi - odpowiedział doktor - inaczej nigdy nie wyzdrowieje.

- A cóż robić, kiedy pije i pije! - zajęczała kobieta.

- Narzekaj na samę siebie, Jakubowo - z lekkim napomnieniem odezwał się Lucjan - bo ile razy lepiej już było mężowi twemu, tyłeś razy przyniosła mu z karczmy wódki. Cud to prawdziwy, że jeszcze żyje dotąd; ale jeżeli będziesz dalej robiła to samo, przestanę przychodzić do was, bo widzę, że nic nie poradzę.

- Ach panoczku, gołąbku! - zawołała kobieta, plaskając rękoma - nie opuszczajże nas biednych ludzi! Toć mój stary dawno by umarł, żeby nie ty, panoczku.

I odrzuciła baba wrzeciono w sień, a obydwiema rękoma pochwyciła rękę Lucjana i ustami przylgnęła do niej.

Doktor łagodnie usunął rękę z energicznego uścisku mieszcanki i rzekł:

- No, któżby chciał was w biedzie opuszczać, moja Jakubowo. Tylko widzicie - dodał surowiej - kiedy nie spełniacie moich zaleceń, to nie widzę potrzeby przychodzić do was.

- Panoczku, rybko! już ani kropelki nie dam staremu!

Uśmiechnął się Lucjan.

- No, pamiętajcie - odpowiedział - a tymczasem bądźcie zdrowi.

Znowu podniósł rękę do czapki, która mu piękne czoło ocieniała i odszedł, a baba podniosła wrzeciono i przez chwilę jeszcze stała we drzwiach domu, patrząc za odchodzącym i kiwając głową. Po czym westchnęła, przełożyła wrzeciono w lewą rękę, a prawą zakreśliła w powietrzu wielki krzyż za Lucjanem, szepcząc:

- Daj jemu, Boże, zdrowie i Najświętsza Panno! taki rozumny, a rozmawia z każdym, niby to z równym sobie.

Tak mrużąc, weszła do chaty, a Lucjan znikł znowu we drzwiach innego domu.

Ale dom, do którego wszedł tą razą, znacznie porządniejszą miał powierzchowność, niż dwa poprzednie. Mały on był, o czterech tylko, ale czysto wymytych okienkach; ganeczek miał oparty o dwa białe i prosto stojące słupy, z dwoma wschodkami i z dwiema drewnianymi ławeczkami bez poręczy. Prowincjonalność

Lucjan wszedł naprzód do dość obszernej sieni, w której stały różne gospodarskie naczynia. Zdjął futro, położył je na przewróconych dnem do góry nieckach i z czapeczką w ręku wszedł do pokoiku na prawo. W pokoiku tym smutno było i ubogo, ale chędogo i porządnie. Stało tam łóżko czysto zasłane, za wykrzywionym trochę parawanikiem; parę starych jak świat komódek, duży, czerwono malowany stół pod oknem i kilka podobnych że stołków pod ścianami. Na ścianach wisiało kilka lichych sztychów, także w czerwonych, drewnianych ramach. Prowincjonalność

Na widok wchodzącego Lucjana, powstała siedzącą przy stole kobieta i śpiesznie złożyła z kolan kilka sztuk grubej bielizny, której cerowaniem była zajęta. Kobieta ta wyglądała na lat czterdzieści, słuszną była i chuda, z żółtą twarzą i małymi oczkami. Miała na sobie wąską czarną spódnicę i takiż kaftan, oszyty starym wytartym aksamitem; na głowie jej spod czarnego czepek, który wyglądał już na ciemnoszary, wychodziły dwa pasma siwiejących, gładko przyczesanych włosów, które na skroniach tworzyły dwa esy, zwane niegdyś filutkami. Była to pani Grodzicka, bardzo przez tameczną publiczność poważana mieszkanka N., a poważana głównie dlatego, iż była niegdyś obywatelką, a nawet nieboszczyk mąż jej piastował w mieście powiatowym urząd sędziego, skąd też i jego podupadłą wdowę nazywano ogólnie sędziną. Pani sędzina atoli w smutnym znalazła się położeniu po śmierci pana sędziego, który, jak ludzie mówili, lubił z buteleczki pociągnąć i dlatego zrujnował swoje gospodarstwo i interesa. Toteż po jego śmierci, wierzyciele sprzedali majątek, a wdowie, pozostałej z dwojgiem dzieci za ledwie okroiła się sumka na kupienie małego domku w N. Osiadła też stale w miasteczku i częścią pracą rąk, częścią z darów zamożniejszych sąsiadów w okolicy, utrzymywała siebie i dzieci.

Prowincjonalność

Ale Napoleon I na wyspie świętej Heleny nie tyle pamiętał świetną przeszłość swoją i nie tyle bolał nad jej utratą, co pani sędzina Grodzicka. Podobnie, jak ów sławny monarcha na odludnej wyspie chorował na Waterloo, tak ona chorowała na swoją utraconą Wólkę; a że wszystko, co się utraciło, wydaje się zwykle stokroć droższym i piękniejszym, niż było w istocie, więc i pani Grodzicka wyobrażała sobie, iż była niegdyś bardzo, bardzo bogatą. Skromny, choć wygodny dom w Wólce, zamienił się w jej wyobraźni w pałac, nejtyczanka w karete, chłopak, wyrostek z przedpokoju, w kamerdynera, a sypialny pokój, w którym niekiedy uprzedzone motki wisiały na ścianach, w budoar. To samo stało się z jej minioną pięknnością, która, obok pałacu i karety, stanęła w jej wyobraźni, otoczona aureolą jakiegoś czarodziejskiego uroku i ukazywała jej w przeszłości mnóstwo rycerzy, podbitych jej wdziękami. Stosunki rodzinne nie mniej olbrzymie przybrały rozmiary i mało brakło, aby z którejkolwiek strony nie zaczęły Burbonów lub Habsburgów. Wielka to podobno prawda, że każdy prawie człowiek na świecie ma swego konika, na którym jeździ; ale pani Grodzicka miała aż trzy koniki, na których tak galopowała, że nikt inny dopędzić by jej nie mógł i w każdej rozmowie umieszczała niezawodnie swój budoar, swoją płec alabastrową i siostrzenicę, marszałkową X. Mimo to wszystko, była to sobie kobiecina pocziwa, kochająca swoje biedne dzieci nad życie. Miała też i tę zaletę, że mimo ogólnego współczucia, jakie wzbudzała, udawała się do jałmużny tylko w ostateczności i wyszukiwała wszelkich środków zapracowania sobie jakiego grosza praniem, szyciem, cerowaniem; ale że potrzeby miasteczka były małe, nie zawsze dostawała robotę i nieraz była zmuszoną do przyjęcia drobnych darów, smutnie nad tym rozmyślając, że gdy miała budoar, płec alabastrową i siostrzenicę marszałkową, sama innym podobnych udzielała darów. Na widok wchodzącego Lucjana, szybko położyła na stole swoją grubą robotę, nieznacznie poprawiła na skroniach filutki, ociągnęła starym aksamitem oszyty kaftan i bardzo uprzejmym dygiem powitała doktora.

- Jakże się ma chora? - spytał Lucjan, po wzajemnie wymienionych wyrazach powitania. Już odra przechodzi - odpowiedziała pani Grodzicka - ale gorączkę biedne dziecko ma jeszcze silną. Niech pan Lucjan zobaczy. I przez wąskie, niskie drzwiczki wprowadziła doktora do małego pokoiku, w którym leżała chora na odrę dwunastoletnia dziewczynka.

- Jakże się dzisiaj czuje moja mała pacjentka? z uśmiechem spytał Lucjan, siadając przy łóżku chorej i biorąc jej rozpaloną rękę. Ładne, nawet odrą nieoszcpecone dziecię, z pełnym zaufania spojrzeniem zwróciło ku niemu twarzyczkę i odrzekło:

- O, daleko mi już lepiej.

- To dobrze, to dobrze - mówił młody doktor. Bo też musimy się bardzo nudzić, leżąc w łóżeczku. Jesteśmy zwykle tak czynni. A co tam bez nas nasze kurki porabiają? - dodał.

- Czubata przychodzi do mnie - odrzekła dziewczynka takim tonem, jakby rozmawiała ze swoim małym braciszkiem - a i Burek zawsze przy mnie.

- A kotek znakomity - rzekł żartobliwie Lucjan, biorąc z ziemi małego szarego kotka i podając go dziewczynce - on kocha swoją panią. A lekarstwo czy bardzo niesmaczne?

- Wszystko, co tylko pan zapisze, to już smaczne - odpowiedziało dziecię, ciągle tym samym, pełnym zaufania spojrzeniem, patrząc w twarz doktora.

- Cieszę się, że tak znam smak Walerki mówił znowu Lucjan, gładząc kotka - ale teraz, gdy już gorączka mniejsza, będziemy pili tylko orszadę. I przez kilka chwil jeszcze, w taki pełen łagodności sposób, porozmawiawszy z chorym dzieckiem, wychodził z pokoju.

- Mamo! mamó! - zawołała dziewczyna do towarzyszącej doktorowi matki, a gdy pani Grodzicka zbliżyła się do niej, rzekła:

- Niech się mama nachyli, coś powiem do uszka.

Nachyliła się pani Grodzicka, a dziecię szepnęło:

- Wie mama, że jak pan Lucjan przyjdzie do mnie, to mi zaraz i bez lekarstwa nawet lepiej.

- Niech mu Pan Bóg błogosławi, moje dziecko - odrzekła matka. - Biedna dziecina, wygod nie ma takich, jakich potrzeba - smutnie, kiwając głową, mówiła dalej do doktora pani Grodzicka. - Kiedyś bywało inaczej: żeby tak na przykład w Wólce zachorowała, zaraz

bym ją do mego budoaru przeniosła, a tam, mój panie Lucjanie i sufit był wysoki, i okna duże, światłe, to zaraz by dziecku zdrowiej było, niż w tej ciupie. Ach, bieda, mój panie Lucjanie, bieda!...

Jakby w odpowiedź na to westchnienie podupadłej sędziny, w sieniach zabrzmiał stentorowy śmiech męski, od którego aż zatrzęsły się szyby w oknach i wnet ukazała się ogromna postać mężczyzny o szerokich barkach, siwych włosach, zawieszonych, białych wąsach i czerstwej, rumianej, rozjaśnionej poczciwymi oczyma twarzy. Wchodzący miał na sobie surdut i spodnie z grubego szarego sukna, a w rękę trzymał czapkę z popielatych baranków.

- Ho, ho, ho! - zaśmiał się we drzwiach powtórnie i grubym głosem mówił, zbliżając się ku gospodyni domu: - Jak się ma pani sędzina? jak zdrowieczko? jak się powodzi? - A spostrzegłszy Lucjana, otworzył ku niemu ramiona i jeszcze głośniejszym zawołał: - Ho, ho, ho, ho! Mosanie tego, a kogoż ja tu widzę? nasz konsyliarz, mosanie tego, ho, ho, ho!...

- Jak się ma pan Dembowski - odpowiedziała pani Grodzicka, witając rubasznego szlachcica z godnością, stosowną do jej przeszłej wielkości - kopę lat nie widziałam pana.

-- A kopę, kopę - mówił pan Dembowski, siadając na stołku, który się o mało nie złamał pod jego ciężarem - dobrze pani sędzina mówisz o kopie, bo właśnie moja jejmość przysłała pani kopę jaj od swoich czubatych, a ja przyjechałem na ośmince kartofli, ho, ho, ho!...

- Bóg zapłać państwu - odpowiedziała pani sędzina. - To w samą porę, bo już nic kartofli nie mam, a w tym roku taka drożyzna. W Wólce to bywało nieboszczyk mąż takie łany kartofli sadił, że jak okiem zajrzeć, a teraz...

- Każde pani sędzina znieść to wszystko do siebie, bo ot mój wózek pod samym gankiem stoi.

Pani Grodzicka westchnęła i po chwili odrzekła:

- Żeby tak w Wólce, tobym kazała memu kamerdynerowi zdjąć te rzeczy z wózka, ale tutaj... chyba jak Mieczek przyjdzie.

Jakby na zawołanie, wpadł do pokoju trzynastoletni Mieczek, syn pani Grodzickiej, żwawy i tęgi chłopak, z pojętną miną i bystrymi oczyma.

- Gdzież to mój uczeń przebywał? - spytał Lucjan, biorąc za rękę zasapanego i spotniałego od zmęczenia chłopca.

- W śnieżki grałem z Adasiem i Tomkiem - odpowiedział rażno.

- Jak to w śnieżki? człowieku, toż na świecie błoto, nie śnieg! - rzekł łagodnie Lucjan.

- Ej, tam pod płótem księdza proboszcza, taki jeszcze śnieg czysty i twardy, niby kamień - odrzekł Mieczek, bawiąc się guzikami od surduta doktora.

- A lekcję na jutro umiesz? - spytał Lucjan.

- Jakżeby nie! albowiem to ja kiedy lekcji nie umiał?

- I to prawda; ale to mnożenie...

- Ej już nauczyłem się: sześć razy siedm¹⁴² czterdzieści dwa, trzy razy ośm¹⁴³ dwadzieścia cztery, widzi pan Lucjan.

W czasie tej rozmowy, pani Grodzicka cicho rzekła do pana Dembowskiego:

- Czy wiesz, panie Dembowski, pan Lucjan taki dobry, że już blisko od roku uczy mego chłopca.

- Poczciwy z kośćciami człowiek, mosanie tego - odszepnął szlachcic tak cicho, że aż się okna zatrzęsły.

- Mieczku, idź weź z woza pana Dembowskiego worek z kartoflami i kosz z jajami i wnieś do spiżarni.

- A niech ci tam mój Janek pomoże - rzekł pan Dembowski.

- Dobrze, matko, pójdę! Ej, ja i bez Janka zaniosę, ale co za to będzie?...

I, zatrzymawszy się na środku pokoju, figlarnie patrzył na obecnych.

- Ot, co będzie za to, chłopcze - rzekł Dembowski, dobywając z kieszeni duże czerwone jabłko.

- Dziękuję panu - odrzekł chłopak - ale ja chcę czegoś¹⁴⁴ od pana Lucjana.

- Czegóż ty ode mnie chcesz, Mieczku?

Chłopak poskoczył, objął go za szyję obu rękoma i głośno pocałował.¹⁴⁵

- Ot, tego! - zawołał - całusa!...- i wybiegł z pokoju.

- Ale niech ci tam Janek pomoże! - wołał za nim Dembowski.

Mieczek wychylił swoją figlarną twarzyczkę przez drzwi i, podnosząc palec do ust, poważnym głosem powiedział:

- Nie chcę, żeby mi Janek pomagał, bo pan Lucjan mówił, żebym, co tylko mogę, zawsze sam robił i nikogo o pomoc nie prosił.

- Sprytny chłopak, mosanie tego - rzekł Dembowski, gdy Mieczek wybiegł z sieni, z trzaskiem zamykając drzwi za sobą.

- Żeby tak za dobrych czasów - odpowiedziała pani sędzina - tobym do niego wzięła guwernera; a teraz, to gdyby nie pan Lucjan, zmarnowałoby się dziecko. - Jakże gospodarstwo pana idzie? - zapytał doktor¹⁴⁶, nie chcąc odpowiadać na słowa pani Grodzickiej.

- Dobrze, dobrze, mosanie tego. Urodzaj był piękny, chwała Bogu i gorzelnia dobry wypęd daje w tym roku. Teraz młóć, mosanie tego, na gwałt, bo pszenicę do Wilna trzeba posyłać.

- A gdzież dziedziczka Jodłowej? - spytała pani Grodzicka.

- A swoim zwyczajem w Warszawie, gdzieby tam ona długo na wsi usiedziała. Ale dobra kobieta, mosanie tego, już ośm lat¹⁴⁷ trzymam od niej w dzierżawie Jodłową¹⁴⁸ i nigdy, mosanie tego, na główkę szpilki przykrości mi nie zrobiła. A pan czy znasz moją dziedziczkę? - zapytał, zwracając się do Lucjana.

- Nie znam pani Warszawskiej - odpowiedział Lucjan - tylko wiele o niej słyszałem; mówią, że bardzo piękna.

- Ach, że piękna, to piękna! - zawołała pani Grodzicka. - Byłam u niej latem, jak przyjechała do Jodłowej, bo to jakoś w czasie żniwa zabrakło nam chleba, a grosza przy duszy nie miałam. Pani Dembowska poradziła mi, żebym się udała do dziedziczki Jodłowej. Z początku przykro mi to było; myślę sobie: ona wielka pani, a ja, choć kiedyś miałam jeszcze piękniejszy pałac, niż dom149 w Jodłowej, i taką samą karetę i kamerdynera, ale teraz biedna jestem; może mnie z impozycją przyjmie! Ale gdzie tam, taka grzeczna! Jadła śniadanie, jak przyszłam i zaraz mnie prosiła do stołu; pytała się o dzieci, rozmawiała długo, potem dała dwadzieścia pięć rubli. A ja nie mogłam napatrzeć się na nią150, taka piękna, a żywa jak skra, a biała... już to co prawda, kiedyś ja piękniejszą płeć miałam, ale za to nie miałam nigdy takich oczu151. Moje były melancholiczne, a jej to błyszczące. A jak to jej na imię, panie Dembowski.

- Klotylda, mosanie tego, Klotylda Warska. Ojciec jej, to at, hulaka był, nic szczególnego; ale matka - anioł dobroci. Tylko że wcześniej odumarła biedaczkę. Nieboszyk Warski jeszcze oddał mi w dzierżawę Jodłową152, a potem pani Klotylda jak owdowiała, to znów kontrakt ze mną zrobiła na dwanaście lat. Siedm tysięcy rubli płacę rocznie, ale nie ma czego narzekać, źle nie wychodzę.

- Czy pani Warska często bywa w Jodłowej? - spytał Lucjan.

- Jak owdowiała, mosanie tego, to coś153 lat z pięć nie była zupełnie, tylko posyłałem jej pieniądze to do Paryża, to do Włoch, to do Warszawy. Potem przyjechała na dwa miesiące i znowu rok nie była; aż przeszłego lata zabawiła z pięć tygodni i pojechała do Warszawy. W Kwietniu, mosanie tego, ma znowu przyjechać; pisała, że może na długo.

- Czemu też to ona za mąż nie idzie? - zagadnęła pani Grodzicka. - Taka piękna i bogata, a już lat siedm podobno, jak owdowiała.

- A siedm154, mosanie tego i z górą. Pani Klotylda ma teraz już dwadzieścia kilka lat. Mówią ludzie, at, jak zwyczajnie ludzie, różnie mówią, że trochę..., jak to powiedzieć..., ot, że tam na swoim wielkim świecie trochę bałamutka; to może dlatego jeszcze sobie dozgonnego towarzysza nie wybrała.

- Ej, alboż to ludziom warto wierzyć? - odparła pani sędzina. - Już to, jak tylko kobieta piękna, a ludzie za nią patrzą, to zaraz i bałamutka. Rychtyk tak samo było i ze mną; dlatego, że miałam twarz nieszpętną, wszyscy krzyczeli na mnie: bałamutka, bałamutka! i choć, co prawda, niejeden za mną głowę tracił, to przecież nie moja w tym była wina.

- Ale że też to, mosanie tego, pan, panie Lucjanie, nie znasz pani Klotyldy. A piękna z was byłaby para, mosanie tego, ha, ha, ha!

- Dziękuję panu za komplement - odparł Lucjan.

- A jużci sam musisz wiedzieć, mosanie tego, że jesteś chłopiec, jak malowanie, a mądry, jak cała synagoga, a dobry choć do rany przyłóż. Ej, muszę ja ciebie, panie Lucjanie, poznać z panią Klotyldą; niech no tylko, mosanie tego, przyjedzie.

- A jak się mają córeczki pana? - spytała pani Grodzicka dzierżawcę Jodłowej.

Gdy pan Dembowski opowiadał Grodzickiej o swoich córkach, Lucjan wszedł do pokoiku, gdzie leżała chora dziewczynka i siadł przy jej łóżku.

- Czy Walerka ma dla mnie choć trochę przyjaźni? - zapytał, biorąc rękę dziecka.

- Ja bym dla pana Lucjana wszystko na świecie zrobiła. Pan taki dobry dla mnie, dla mamy, dla Mieczka - odpowiedziała Walerka, patrząc na doktora swymi dużymi, błękitnymi oczyma.

- To proszę mi szczerze powiedzieć - mówił znów Lucjan - czy mama potrzebuje teraz pieniędzy?

Dziecko namyślało się przez chwilę.

- Nie wiem dobrze - odpowiedziała w końcu - ale pewnie potrzebuje, bo wczoraj, jak posyłała po lekarstwo, które mi pan zapisał, to mówiła Mieczkowi, ażeby prosił aptekarza o kredyt, a już herbaty mama cały tydzień nie pije. Ale dla czego pan się pyta?

- Tak, mam powód; dziękuję ci, Walerciu.

Wstał i podszedł do okna, przy którym stał stoliczek. Na stoliczku były flaszeczki z lekarstwami i między nimi leżała książka do nabożeństwa. Lucjan, odwrócony od chorej, niby patrząc przez okno wyjął asygnatę z pugilaresu i włożył ją155 w Złoty ołtarzyk, po czym odwrócił się szybko, pochwyił kotka, biegającego po izdebce i oddał go Walerce, mówiąc:

- Niechże Burek bawi Walerkę, a ja tu jutro znowu przyjdę.

W kilka chwil potem Lucjan zdejmował z niecek swoje futro156 i, włożywszy je, wychodził z domu pani Grodzickiej, a na drodze do Jodłowej turkotał wózek pana Dembowskiego, który, siedząc na worku od kartofli, wołał na Janka:

- Kasztanek zacinaj, bo leniwa bestia! gniasz, mosanie tego, wstrzymuj, bo za gorący!...

A pani Grodzicka, cerując grubą bieliznę przy łóżku Walerki, rozmyślała nad swoją zgasłą wielkością i ani się spodziewała, że, gdy przy wieczornych modlitwach otworzy swój Złoty ołtarzyk, znajdzie w nim zacną ręką położony pieniądz, za który kupi lekarstwo dla chorej córki i bućki dla Mieczka.

Młody doktor157, wyszedłszy od pani Grodzickiej, zaszedł jeszcze do dwóch czy trzech domów, zatrzymywany był na ulicy przez dwóch czy trzech Żydów, którzy, kłaniając się „wielmożnemu panu doktoru”, prosili go o radę, nie tylko w fizycznych dolegliwościach swoich, ale i w finansowych spekulacjach. Raz także stanął na jego widok dworski jakiś, jadący parokonnym wózkiem, chłopak i powiedział mu, że pan jego prosi wielmożnego doktora, iżby jutro rano przyjechał, bo febra nie ustępuje.

Zmierch krótkiego zimowego dnia zaczął już zapadać, gdy przeszedł plac, minął kościółek i znalazł się przed niewielkim, ale białym i stojącym na czyściutkim podwórku, domem. Dach domu tego, nowy, słomiany, lśnił żółtawo spoza lekkiej warstwy gdzieniegdzie leżącego na nim śniegu. Kilka okien, mających każde po cztery spore i czyste szyby, patrzyło na podwórko, na którym gęsto sterczały skielety odartych z liści różanych i bżowych krzewów; mały ganeczek z dwoma słupami i ławeczkami otoczony był drewnianą, zielono malowaną kratą, po której latem pięły się snadź158 powoje. Naokoło podwórka biegło ogrodzenie z niskich, gładko ciosanych

sztachet, otwierających się niewielką furtką na dość szeroką przestrzeń, za którą żółciało znowu ogrodzenie kościołka i, między grupą bezlistnych drzew, strzelała wieżyczka dzwonnicy. Z drugiej strony domu był ogródek niewielki bez drzew, kwiatami snadź 159 i warzywem zasiewany zwykle, a za nim jeszcze oko bieć mogło po szerokich, za miasteczkiem leżących polach i zatrzymywało się na wąskim pasie lasu, który w owej okolicy zaokrąglą każdy widnokrąg. Cisza wokoło domku tego była zupełna, gwar miasteczka tam nie dochodził i tylko niekiedy przyływały z kościołka przeciągłe odgłosy pieśni nieszpornych, lub jęczące akordy organów wiejskich, skrzypiących wprawdzie i fałszywych, ale których dźwięk, oczyszczony przestrzenią, płynął ku cichemu domkowi, poważny, modlitewny. Prowincjonalność

Kiedy Lucjan Dolewski stanął w bramie podwórka, zmrok i milczenie otaczało domek, powietrze było ciche, ciepłe; bladobłękitne obłoki szarzały gdzieś tam małymi chmurami, spod których zaczynały już wypływać gwiazdy. Wrzask i gwar miasteczka pozostały za nim i umilkły.

Młody człowiek znalazł się sam na sam z sobą i z pięknym, cichym wieczorem. Stanął w furtce, ale nie przestąpił jej progę; patrzył na dom i na kościół zamyślony. Po chwili z dzwonnicy kościoła, cichy, ale czysty głos dzwonu, przypominający wiernym wieczorne pozdrowienie anielskie, zabrzmiał nad szczytami drzew i rozległ się w powietrzu. Głos ten był starym znajomym Lucjana; słuchał on go wtedy jeszcze, gdy mu matka drobne dłonie do pacierza składała i wtedy, gdy, ze szkolnych nauk co rok wracając do N., wrzał dziecięcą swawolą, lub młodzieńczą, nie znającą jeszcze ciemnych stron życia, wyobraźnią. Słuchał go też co wieczór i co rano, od czasu, gdy stale zamieszkał w miasteczku, to jest od lat trzech. A gdy w życiu człowieka dźwięk jaki powtarza się tak co chwila we wszystkich epokach istnienia, wywołuje on tłumy wspomnień i myśli. Słusznie napisał Chateaubriand: „Któregoż człowieka serce nie zdrzży na odgłos dzwonów rodzinnego miejsca, tych dzwonów, które rozlegały się radośnie nad kolebką jego, ogłaszając świętą radość jego ojca, boleść i niewysłowioną rozkosz jego matki? W zadumie, w jaką pogrąża człowieka odgłos rodzinnych dzwonów, wszystkie pojęcia się wiążą: wiara, ojczyzna, kolebka i mogiła” Nie zlokalizowano źródła cytatu.

Toteż i do wrażliwej duszy młodego doktora odgłos rodzinnych dzwonów wiele mówić musiał, bo twarz jego straciła wyraz surowego zamyślenia, jaki miała przed chwilą i stała się łagodną tą męską słodyczą, która, spoza hartu i surowej myśli, błyska na świadectwo istnienia tego niespożytego tła człowieczej istoty – miłości. Z tym wyrazem na twarzy, Lucjan szybko przeszedł podwórko i otworzył drzwi domu. W sieni, do której wszedł, oprócz drzwi na podwórze, były jeszcze dwa wyjścia; jedno na lewo prowadziło snadź 160 do paradnych pokojów, drugie na prawo do gospodarskich. Zaledwie Lucjan przestąpił próg sieni, gdy, zza wół otwartych drzwi na prawo, ozwał się głos kobiety.

- Marysiu, Marysiu! a przedzjęże nieś kawę! Czego tam siedzisz tak długo?

- Śmietanka skipiała, proszę pani - odpowiedział z dalszego pokoju piskliwy głos Marysi.

- Ach, Boże wszechmogący! - zawołał znowu głos pierwszy - co też za niezdara z siebie! nigdy niczego nie dopilnujesz, jak trzeba. I gdzieżeś to latała, żeś nie mogła śmietanki dopilnować?

- Tylko, proszę pani, pobiegłam do Janklowej po bułki - zawsze z oddali dochodził podniesiony głos Marysi.

- Oj, biegasz ty, jak żółw rychtyk - zabrzmiał znizony już głos gderający.

W czasie tej rozmowy Lucjan, zdjęwszy futro, wszedł do pokoju na lewo. Pokój ten był niewielki, o dwóch oknach, zdobnych w białe firanki z gładkiego muślinu i w kilka doniczek z kolczastym kaktusem i wonnym geranium. Na biało tynkowanych ścianach, w żółtych drewnianych ramach, wisiało kilka miernych litografii, przedstawiających Napoleona pierwszego, jakieś nadmorskie miasto i wydobywanie Mojżesza z wody. Naprzeciw drzwi stała starożytnych kształtów, szeroka i długa kanapa, o wysokich z żółtego drzewa poręczach, przed nią, białą siatkową serwetą nakryty, duży czworograniasty stół, a nad nią wisiało spore lusterko, oprawne w złoczone niegdyś, dziś szerniałe ramy. Ścianę przeciwległą oknom zajmował prawie całkowicie ogromny piec z zielonych kafli, zostawiając tylko miejsce na wąskie drzwi, do innego pokoju prowadzące i na wiszący za nimi wielki zegar, z ciężkimi miedzianymi wagami, z bukietem malowanych róż nad cyferblatem i z głosem kukułki, oznajmującym każdą godzinę. Między oknami na stoliku stał pod szklanym pękatem kłosem bukiet kwiatów 161, robionych z różowej i zielonej włóczki; kilka żółtych wyplatanych krzeseł i wąska a długa szafka z czarnego drzewa w kącie, dopełniały umeblowania pokoju, z którego wiało tchnienie starych zwyczajów, mierności i zacieśnionego parafialnego smaku. Prowincjonalność / zwyczaj

Do pokoju tego, zaraz za Lucjanem, weszła niemłoda kobieta, małego wzrostu, szczupła, w czarnej wełnianej sukni i białym czystym czepek, nie pokrywającym zupełnie mocno posrebrzonych włosów. Twarz miała żółtą i pomarszczoną, usta blade i nieco surowe, ale duże, błękitne i bardzo łagodne oczy.

Lucjan wziął jej rękę i poniósł ją do ust.

- Dobry wieczór ci, moja matko - rzekł.

- Dobry wieczór, moje dziecko - odpowiedziała pani Dolewska, całując syna w czoło 162. - Takem się w tej chwili zagniewała na Marysię, że nie uwierzysz. Wyobraź sobie, ta nieznośna dziewczyna...

- Moja matko droga - przerwał łagodnie Lucjan, trzymając jej rękę w obu dłoniach - czy warto, abyś się tak gniewała i martwiła o drobiazgi?...